W numerze: Łódź przepiła Piotrków ● Upadek ● Łodzianin między peronami ● Konsul ● Aktorzy mojej młodości ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 11 (367)
21. III. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

Fot. E. Hartwig

TEATR, AKTORZY, PUBLICZNOŚĆ

Redaktor, zagajając dyskusję, powiedział między innymi: „Inicjujemy tę rozmowę z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, który stanowi jeszcze jedną sposobność do pomyślenia o teatrze i aktorach, a także i o widzach, bez których żadna scena na świecie nie może istnieć. Interesuje nas nie teatr w ogóle, nie teatr sam w sobie i teatr jako taki, lecz to, co dzieje się u nas w Łodzi: czy społeczeństwo jest zadowolone z naszych przedstawień, czy otacza teatr i aktorów adoracją, czy zwiększa się społeczne oddziaływanie sztuki."

Mówi Mieczysław Jagoszewski, recenzent teatralny, związany z Łodzią i jej życiem teatralnym przed wojną i po wojnie:

„Piętnaście lat temu z trudem zdobywaliśmy tzw. szeroką publiczność. Dziś jest już znacznie lepiej. W tym względzie należy się wielkie uznanie dla organizatorów ruchu teatralnego, którzy potrafili różnymi sposobami oddziaływać na ludzi pozostających do tej pory na dalekim marginesie życia kulturalnego. Mam na myśli liczne rzesze robotnicze. Nie jesteśmy tu co prawda pionierami, bo już przed wojną sprawa wciągania robotników do teatru była realizowana przez TUR oraz przez specjalne przedstawienia Teatru Miejskiego a także przez jego zespoły, grające w czterech peryferyjnych teatrzykach łódzkich. Po wojnie, w zmienionych do gruntu warunkach społecznych akcja ta rozwinęła się na szeroką skalę i musiała przynieść pożądane rezultaty. Na naszym łódzkim terenie wiele dobrego zdziałał Klub Miłośników Teatru przy Towarzystwie Przyjaciół Łodzi".

Mówi Mieczysław Kwinkowski, kierownik organizacji widowni Teatru Powszechnego:

„Z obserwacji, jakie poczyniłem w ciągu 13 lat mojej pracy w teatrze, mogę stwierdzić, że najtrudniejszy jeśli chodzi o frekwencję był rok 1962. W roku 1964 nastąpiła bardzo wyraźna poprawa, a w roku bieżącym jest jeszcze lepiej. Do niedawna panowała taka opinia, że telewizja odbierze widza teatrowi. Okazało się to niezgodne z prawdą. Telewizja stała się sprzymierzeńcem i propagatorem teatru i aktora. Wzmogła również zainteresowanie dramatem współczesnym. Sztuka „Ktoś nowy", wystawiona w Teatrze Powszechnym, która porusza problemy życia współczesnego, grana była już 50 razy przy średniej frekwencji 78 procent. A więc nie jest tak źle".

Mówi Stefania Zabłocka, nauczycielka liceum:

„Przygotowaniem widza do właściwego odbioru sztuki zajmuje się Dom Kultury Nauczyciela, gdzie odbywają się dyskusje przed i po przedstawieniach, często z udziałem reżysera i aktorów. Byłam na takich dyskusjach niejednokrotnie. Trwają one nierzadko kilka godzin przy żywym uczestnictwie grona nauczycielskiego. Wynika z tych dyskusji, że bywalcy teatralni, których jest coraz więcej, znają łódzkie teatry, znają aktorów, wśród których mają swoich ulubieńców".

Mówi Maria Jeśman, nauczycielka szkoły podstawowej:

„Chodzi o to, by sztuka nawet trudna, podana była przez teatr w sposób komunikatywny, ogólnie zrozumiały. Zdarzają się bowiem w rozmowach, zwłaszcza wśród widzów pochodzenia robotniczego, skargi że pewne sprawy są dla nich niejasne i niezrozumiałe. Naturalnie nie zawsze jest to wina teatru. Ale teatr winien zrobić wszystko, by przedstawienie było czytelne, z jasno przeprowadzonym wątkiem myślowym. Byłam wraz z innymi widzami na „Wyborze" w Teatrze Nowym, na „Kobietach z Niskavuori" w Teatrze Jaracza. I mnie i innym sztuki te się podobały, bo poruszają one problemy moralne, w naszym dzisiejszym świecie tak ważne".

Rozmowa potoczyła się dalej. Padały uwagi i postulaty, słowa krytyki i pochwały, życzenia i nadzieje na przyszłość. **Ale wszyscy zgodzili się co do jednego: że obraz teatralny Łodzi jest barwny i ciekawy.** Przełamana została pewna niechęć do dramaturgii awangardowej. „Indyk" Mrożka i „Radosne dni" Becketta w Małej Sali Teatru Nowego, „Czarowna noc" i „Karol" tegoż Mrożka na Scenie Propozycji Teatru Powszechnego, ostatnio jednoaktówki Maxa Frischa i Sfriso wzbogaciły repertuar naszych scen o nowe elementy dramaturgii współczesnej – polskiej, obcej. Zapowiedzi wystawienia „Dziadów" Mickiewicza w Teatrze Powszechnym, „Galileusza" Brechta w Teatrze Nowym i „Caliguli" Camusa w Teatrze im. Jaracza oznaczają poważny wzrost ambicji w kształtowaniu oblicza poszczególnych scen i zespołów artystycznych. Oznaczają także pogłębiającą się świadomość społecznej i narodowej roli teatru w naszym kraju.

JAN BĄBIŃSKI

WŁÓKNO SZUKA EDISONA

Czy Polacy są narodem technicznie uzdolnionym?

W plakatach nie mamy sobie równych. Zazdroszczą nam wspaniałych orkiestr, mistrzowskich teatrów. Dopracowaliśmy się kiedyś polskiej szkoły w filmie. Nigdzie wszelako nikt nam nie zazdrości „Syrenek", pykających pyk-pyk... silnikiem od strażackiej pompy. Czy więc polska technika to fantom, miraż, złudzenie nie tylko optyczne?

Czy można mówić o anglosaskiej technice, nawet o czeskiej technice, lecz nie można mówić o polskiej technice — bo takiej nigdy nie było i nie ma? Czy naprawdę mają rację ci, którzy twierdzą jakoby rozpiętość między poziomem humanistyki, a techniki, była w Polsce szczególnie wielka?

Kościuszko, Mickiewicz, Chopin, Sienkiewicz... owszem polskie nazwiska spotyka się już w podręcznych leksykonach. Są to jednak wyłącznie postacie z dziedziny humanistyki! Polski wkład w światową technikę próżno by jednak odgrzebać nawet w wielotomowych Brockhauzach. Jakże to? Czyż pan Łukasiewicz nie zaświecił w jednym z lwowskich szpitali pierwszej na tym globie lampy naftowej? Czy ta lampa nie rozpala płomyczka dumy narodowej w duszach szkolnej dziatwy? Uczono nas tego. Zgadza się, lecz kilkudziesięciotomowy Meyers nie wspomina o Łukasiewiczu ani jednym słówkiem. Wspomina natomiast o Łukaszewiczu, historyku, który podał do druku dzieło pt. „O kościołach Braci Czeskich w dawnej Polsce"

To fakt, wielkie i cenione za granicą encyklopedie traktują polskich inżynierów i wynalazców per non sunt.

Nie wierzę tym uczonym knigom, wierzę Amerykaninowi z gigantycznych zakładów nad jeziorem Erie.

Czemu zresztą nie zajrzeć do jednej z łódzkich fabryk, w których jak w małych miasteczkach żyje po kilka, po kilkanaście tysięcy osób. Co słychać w zakładach „Harnama". Czy fabryka włókiennicza powinna słynąć przede wszystkim z baletu, czy ze swej produkcji? Ze swych mózgów i rąk? A może byłoby nadmiarem optymizmu oczekiwać, że robotnik poprawi zagranicznego konstruktora. Wiem jak to bywa. Łatwo ulec fascynacji. Robotnik spogląda na błyszczącą, wyjętą prosto ze skrzyń maglarkę. Czego się tu czepiać? Każdy przywozi, co ma najlepszego. Rosjanie przywieźli cały oddział przygotowawczy. Jeden Niemiec wysiadł z trabanta i zmontował maglarkę. Drugi wysiadł z taunusa i zmontował suszarkę. Anglicy też tu przebywali. Z czym więc do gościa?

Wszyscy milczeliśmy, słychać było tylko jak przez grubą zasłonę stłumiony łoskot maszyn.

Pierwszy odezwał się młody inżynier o rysach naukowca:

— To trudna sprawa wykombinować coś na prawdę oryginalnego. Do wprowadzania ulepszeń popycha nas jednak samo życie. Mamy w fabryce kilkadziesiąt przędzarek obrączkowych „Platta" z 1896 roku. Gdyby nie złote ręce mechaników, staruchy by już dawno spoczęły na złomie. Pracuje tu również kilkadziesiąt 80-letnich krosien „Honnegera i Bauera". Jest co modernizować, jest nad czym się biedzić. Najnowsze konstrukcje też nie są jeszcze szczytem techniki. Ramy przy apretarzu założono kilka lat temu. Są ostatnim krzykiem. A jednak już je przebudowaliśmy. Wydajność na nich poszła w górę od razu o 40 procent...

Jedna z kobiet zajrzała do teczki z dokumentami:

— Wniosków złożono w zeszłym roku 37, do zastosowania przyjęto 18, tak że racjonalizatorzy zaoszczędzili nam milion złotych. W ogóle najopłacalniejsze są inwestycje w ludzki mózg. Na czym one polegają? Na wypłacaniu nagród, proszę pana. Kto pobrał najwyższą nagrodę? No więc istniał konkurs, pierwsze miejsce zajął w nim inżynier...

Młody inżynier o wyglądzie profesora poruszył się niespokojnie.

Nic nie pomogło, kobieta go wydała. To on był pierwszym racjonalizatorem fabry-

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Końcowy komunikat konsultatywnego spotkania przedstawicieli partii komunistycznych i robotniczych w Moskwie, opublikowany 10 marca, żywo komentowany jest w świecie. Zawarty w nim konstruktywny program przezwyciężenia w międzynarodowym ruchu występujących obecnie trudności, podkreślenie tego, co łączy, więc idei i też, które służą całemu ruchowi komunistycznemu, wyznaczenie dróg poprawy sytuacji (dwu- i wielostronne spotkania, szeroka wymiana poglądów) — wszystko to upoważnia do stwierdzenia, że uczyniono istotny krok w kierunku przeszkodzenia dalszemu komplikowaniu spraw oraz zespolenia całego ruchu. Jest to więc dokument dobrej woli uczestniczących w spotkaniu partii, dokument, którego podstawę stanowi Deklaracja z r. 1957 i Oświadczenie z roku 1960.

Reakcje zachodnie na komunikat wydają się wskazywać, że koła imperialistyczne srodze się zawiodły. Trudno się dziwić. Jeśli bowiem w rezultacie tego spotkania oczekiwano pogłębienia rozbieżności — musiało nastąpić rozczarowanie.

Tym boleśniejsze, że w innym dokumencie — oświadczeniu uczestników spotkania na temat wydarzeń w Wietnamie — okazano jednomyślne stanowisko wobec amerykańskich poczynań w Indochinach. W imieniu swoich partii obradujący w Moskwie zażądali natychmiastowego wycofania sił zbrojnych USA z Wietnamu Południowego i przerwania akcji militarnych na Wietnam Północny.

Podczas gdy w świecie wzmaga się nacisk na negocjowanie problemu wietnamskiego — Stany Zjednoczone zaczynają tracić nerwy. Świadczy o tym ich reakcja na oficjalnie ostatnio potwierdzoną inicjatywę sekretarza generalnego ONZ — U Thanta zwołania konferencji 7 krajów i bezpośrednich rozmów Północ-Południe. Johnson miał podobno, i to w sposób brutalny, dać U Thantowi do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych jego inicjatyw i mieszania się w problem wietnamski. Czyżby Stany Zjednoczone zapomniały, że nerwowość jest złym doradcą?

Bardzo dynamicznie rozwijają się wydarzenia w innym rejonie świata, na linii: Bonn — Kair, a może precyzyjniej: Bonn — świat arabski.

Po zapowiedzi Niemieckiej Republiki Federalnej nawiązania stosunków dyplomatycznych z Izraelem, co ma być jedną z form ukarania ZRA za porwanie Waltera Ulbrichta, sytuacja zaostrza się dosłownie z każdą godziną. Miernikiem tego są treść i ton trzech kolejnych wystąpień prez. Nasera. W ostatnim z nich Naser wymienił rezolucje, przyjęte na spotkaniu przedstawicieli 13 krajów arabskich. Przewiduja one m. in. zajęcie wspólnego stanowiska, wycofanie ambasadorów krajów arabskich z Bonn, (forma ostrzeżenia) i zerwanie stosunków z NRF, jeśli podtrzymywać ona będzie swoje stanowisko. „Zobaczymy — powiedział Naser — kto kogo ukarze... Jak zerwanie, to zerwanie". I dodał, że Egipt może skonfiskować wszystkie zachodnioniemieckie fundusze w ZRA, które według źródeł zachodnich — oceniane są na 77 mln funtów.

Równolegle w innych krajach arabskich trwają demonstracje antyerhardowskie.

Zdaniem licznych komentatorów, wzajemne stosunki: Bonn — Kair weszły w taką fazę, z której nie ma odwrotu. Być może, że w chwili, gdy Czytelnik weźmie niniejszy numer do ręki będą już do odnotowania dalsze fakty.

Rozmiary porażki zachodnioniemieckiej polityki wyznacza nie tylko przegrana na Bliskim Wschodzie, lecz również w Bundestagu. Mam tu na myśli problem przedawnienia zbrodni hitlerowskich. Do komisji prawnej parlamentu skierowano po burzliwej debacie dwa wnioski, które proponują zniesienie przedawnienia. Tak więc pod naciskiem opinii publicznej, fali protestów i oburzenia, Bonn musiał się cofnąć. Szkoda tylko, że tak późno — podkreślają komentatorzy — i że członkowie rządu w czasie debaty zajęli tak powściągliwą postawę. Odczuwało się wyraźne niezadowolenie z faktu, iż ostateczne decyzja będą inne niż początkowe zamierzenia rządu, który życzył sobie by 8 maja był dniem amnestii dla zbrodniarzy.

W dzisiejszym komentarzu chciałbym jeszcze zwrócić uwagę Czytelników na wybory municypalne we Francji. W niedzielę odbyła się pierwsza tura głosowania, po tygodniu druga. Kampania przedwyborcza przebiegała na ogół spokojnie. Dopiero w ostatnich dniach temperatura podskoczyła. Przyczyną było radiowo-telewizyjne przemówienie prem. Pompidou, noszące wyraźny charakter interwencji wyborczej.

Nie znam jeszcze wyników I tury. Już jednak fakt, że we wszystkich okręgach znajdują się trzy lub cztery listy (lewica wystawiła wspólne listy w 82 okręgach), a także kilka niewiadomych w rodzaju: Jak głosowali młodzi ludzie po raz pierwszy spełniający swój wyborczy obowiązek? Jaki jest wpływ głosów repatriantów z Algierii? Jak odbiło się na przebiegu wyborów nowe postanowienie ordynacji wyborczej, zakazujące zmiany list między pierwszą i drugą turą głosowania w miastach powyżej 30 tys. mieszkańców — budzą uzasadnione zainteresowanie wyborami.

Ich wynik będzie papierkiem lakmusowym sytuacji wewnętrznej Francji, pewnego rodzaju próbą sił przed wyborami prezydenckimi, i może wywrzeć niemały wpływ na przemiany polityczne w kraju. Jak bowiem podkreślił sekretarz generalny FPK — Waldeck Rochet „poważny sukces list Unii Demokratycznej wpłynie niewątpliwie na przyśpieszenie rozszerzenia jedności między komunistami a socjalistami i innymi republikanami".

Oto dlaczego warto zwrócić uwagę na francuskie wybory samorządowe.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA, 7 MARCA

*** Przywódcy buddyjscy, którzy w przeszłości doprowadzili do obalenia trzech rządów w Południowym Wietnamie wezwali Stany Zjednoczone do wycofania swoich wojsk w Płd. Wietnamie. Domagali się również aby USA zaprzestały bombardować DRW. Amerykańska ambasada w Sajgonie z niepokojem śledzi rozwój buddyjskiego ruchu politycznego.**

*** W wyborach do Stanowego Parlamentu w Kerali w Indiach poważny sukces odniosła Komunistyczna Partia tak zwanych lewicowych marksistów, uzyskując 40 mandatów, Partia Kongresowa — 36 mandatów, Kongres Keralski — 23, Komunistyczna Partia Indii — 3. Pozostałe ugrupowania łącznie — 31.**

*** W Hanoi, stolicy DRW trwa ewakuacja dzieci, młodzieży szkolnej i osób nie pracujących na wieś. Osoby ewakuujące się z Hanoi korzystają ze zniżek na przejazd autobusami, łodziami, barkami i kolejami. Zniżki obejmują również przewóz bagaży.**

*** Rząd syryjski podjął decyzję o nacjonalizacji 9 towarzystw naftowych, w tym 3 towarzystw zachodnich. Agencja UPI przypomina w związku z tym, iż w styczniu br. władze Syrii znacjonalizowały 115 towarzystw przemysłowych zaś w lutym 45 towarzystw importowych.**

PONIEDZIAŁEK, 8 MARCA

*** Życie polityczne Sajgonu w oczach korespondenta zachodnioniemieckiej „Frankfurter Allgemeine Zeitung": W Wietnamie Południowym istnieje 60 partii. Większość z nich składa się z przewodniczącego, wiceprzewodniczącego i kasjera. Skarbnik jest postacią ważną, bowiem wszystkie te partie usiłują bronić demokracji i sądzą, że w końcu nawet dla najmniejszej partii coś kapnie z amerykańskich milionów. Większość pism (30 dzienników i 40 czasopism) ukazuje się w nakładzie rzędu 200 egzemplarzy. Są to zwykłe pamflety służące do atakowania jednej grupy przez drugą. Zaatakowany polityk stara się zazwyczaj wykupić cały nakład gazety. Poza tym panuje tu ścisła cenzura.**

*** W tempie tysiąca ha tygodniowo zmniejsza się areał ziem uprawnych w Danii. W ciągu ostatnich 25 lat obszar uprawny skurczył się o przeszło 230 tysięcy ha. Kurczenie się areału ziemi uprawnej następuje z powodu rozbudowy miast oraz przejmowania ziemi pod obiekty wojskowe.**

WTOREK 9 MARCA

*** Przedstawiciel lewego skrzydła brytyjskiej Labour Party, poseł do Izby Gmin Zilliacus w ostrych słowach potępił fakt lądowania oddziałów amerykańskiej piechoty morskiej w Wietnamie Południowym. Określił on lądowanie tych oddziałów jako przejaw systematycznego i świadomego rozszerzania wojny, jako akt zwykłej międzynarodowej agresji.**

*** Publicyści amerykańscy wyrażają zaniepokojenie z powodu utrzymującego się wysokiego bezrobocia wśród młodzieży amerykańskiej. Odsetek ten wynosił w roku ubiegłym średnio 15,70 proc., przy czym sytuacja wyglądała szczególnie krytycznie wśród młodzieży murzyńskiej, gdzie 23 proc. chłopców i 31 proc. dziewcząt nie było w stanie znaleźć pracy.**

*** W nowym roku szkolnym, który rozpoczął się 5 marca 20 Kubańczyków podjęło naukę języka polskiego w hawańskiej szkole języków obcych im. Abrahama Lincolna. Wśród uczących się są głównie specjaliści pracujący przy budowie obiektów przemysłowych dostarczanych przez Polskę.**

ŚRODA 10 MARCA

*** Prasa węgierska poświęca ostatnio wiele miejsca sprawom organizacji pracy i biurokracji. Według danych statystycznych stosunek pracowników umysłowych do liczby zatrudnionych w przemyśle węgierskim wynosił w 1941 r. — 6,6 proc., w roku 1949 — 8,8, a w roku 1960 — 15 proc. Zwraca się również uwagę na fakt, że podczas gdy technika produkcji dóbr materialnych i organizacja produkcji szybko się unowocześniają, to metody pracy biurowej pozostają takie same.**

*** Parlament Kuwejtu wysunął żądanie zerwania przez wszystkie kraje arabskie stosunków dyplomatycznych i gospodarczych z Bonn i uznania NRD.**

*** Premier Czou En-lai w wywiadzie udzielonym publicyście amerykańskiemu Edgarowi Snow oświadczył, że Chiny nie dokonają eksplozji „setek bomb nuklearnych jak Stany Zjednoczone", gdyż nie jest to wcale potrzebne. Skonstruowanie jednak bomby termonuklearnej nastąpi „tak samo szybko jak w krajach rozwiniętych pod względem przemysłowym".**

*** W czasie odbywającego się kolokwium w Ośrodku Badań nad współczesną Afryką i Azją w Paryżu podano, iż w 1964 roku w Kongo Brazaville matury otrzymały jedynie 2 dziewczyny i 24 chłopców. Wśród kobiet tego kraju jest tylko jedna absolwentka wyższej uczelni, która jest zarazem deputowaną do parlamentu.**

CZWARTEK 11 MARCA

*** Miarodajne koła francuskie nie kryją swego zaniepokojenia z powodu wzrastającej presji militarnej i bezpośredniego angażowania się USA w wojnę wietnamską. W Paryżu wzrasta coraz bardziej obawa o to, że obecny rozwój sytuacji w Wietnamie może doprowadzić do wojny na wielką skalę.**

*** Prasa fińska donosi, że do Moskwy udała się delegacja Ministerstwa Obrony z szefem Sztabu Generalnego na czele.**

*** Dziennik „Kol Haam", organ Komunistycznej Partii Izraela skrytykował fragment komunikatu opublikowanego w Kairze pod koniec wizyty Waltera Ulbrichta. Dziennik zarzuca krytykowanej części komunikatu bezpodstawność ataku na Izrael.**

PIĄTEK 12 MARCA

*** W dzienniku „Daily Worker" ukazał się wywiad profesora uniwersytetu charkowskiego Libermana, który w 1964 roku wysunął po raz pierwszy koncepcję zysku, jako głównego miernika efektywności produkcji przedsiębiorstw socjalistycznych. Prof. Liberman stwierdził, iż teoretyczne dyskusje na temat roli zysku w Związku Radzieckim zostały już w zasadzie zakończone, a obecnie na porządku dziennym stanęły konkretne eksperymenty ekonomiczne.**

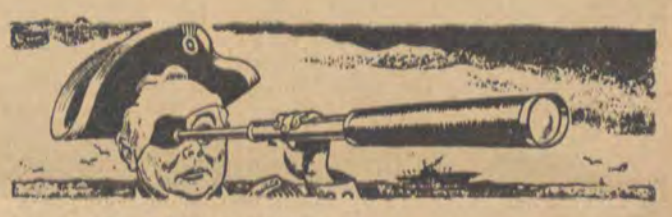

Labourzyści nie mogą odkryć Europy...
(„Daily Mail")

*** 180 tysięcy skarg i zażaleń wpłynęło w 1963 roku do centralnych urzędów i instytucji CSRS. Tak wysoka liczba skarg — pisze dziennik „Praca", w którym podano powyższe informacje — kierowana do wyższych instancji świadczy o biurokratyźmie wielu terenowych instytucji, o niewłaściwym podejściu do skomplikowanych, ludzkich spraw.**

SOBOTA 13 MARCA

*** Według agencji Sinhua wicepremier i minister spraw zagranicznych ChRL Czen-I „surowo potępił imperialistów USA za tajną współpracę z militarystami zachodnioniemieckimi, celem zaopatrywania Izraela w znaczne ilości broni, co poważnie zagraża bezpieczeństwu krajów arabskich".**

*** Przywódcy Kurdów irackich przewidują, że rząd prezydenta Arefa podejmie na nowo działania wojenne przeciwko Kurdom wiosną bieżącego roku.**

*** Balet na temat nawozów sztucznych (pt. „Złota pszenica") napisany dla amatorskich zespołów scenicznych stał się przedmiotem repliki opublikowanej w dzienniku „Prawda". Istnieje potrzeba, aby muzyka i choreografia związane były ze współczesnością, pisze dziennik, lecz balet przedstawiający „taniec superfosfatów" nie ma nic wspólnego ani ze sztuką, ani ze współczesnością.**

POLONICA

POLONICA

MATEJKO W ZSRR

Wydawnictwo „Iskusstwo" przygotowało do wydania album poświęcony Janowi Matejce. W zapowiedziach wydawniczych nr 5/65 „Mieżdunarodnoj knigi" czytamy: „Najlepsze obrazy znakomitego polskiego malarza XIX w. Jana Matejki — Stańczyk na balu u królowej Bony, Kazanie Skargi, Kopernik, Bitwa pod Grunwaldem — przepojone są patosem walki o wolność i niepodległość. Duma narodowa i gorący patriotyzm przenikają całą twórczość artysty".

Oprócz reprodukcji zamieszczony jest obszerny życiorys Matejki oraz najważniejsze wydarzenia historyczne tego okresu. Książka ukaże się w III kwartale br. w nakładzie 10.000 egzemplarzy.

KAWALEROWICZ I WINNICKA W ZSRR

Wydawnictwo „Iskusstwo" nakładem 50.000 egzemplarzy przygotowuje do wydania książkę poświęconą J. Kawalerowiczowi i aktorce grającej główne role w jego filmach — L. Winnickiej — informuje swych czytelników „Mieżdunarodnaja kniga" nr 5/65. Komentator natomiast dodaje: „Filmy wybitnego polskiego reżysera filmowego J. Kawalerowicza cieszą się dużą popularnością u widzów, wywołując ostre dyskusje i polemiki. Tak było z „Pamiątką z Celulozy", „Pod gwiazdą frygijską", „Matką Joanną od Aniołów". To fascynujące, współczesne w formie, lecz zupełnie nie proste filmy. Książka Sobolewa pomaga zrozumieć złożoną i bardzo polemiczną twórczość Kawalerowicza, historię powstawania i los jego filmów oraz sekrety warsztatu reżyserskiego".

TREPKOWSKI NA PÓŁKACH RADZIECKICH KSIĘGARŃ

Nakładem 25.000 egzemplarzy wydano w ZSRR plakaty Tadeusza Trepkowskiego. Krytyk wydawnictwa „Iskusstwo" zapowiadając ukazanie się albumu pisze: „Plakaty T. Trepkowskiego są szeroko znane za granicami ojczystego kraju. Jego twórczość cenią również radzieccy odbiorcy, bezbłędnie odgadując styl artysty w swoistym, lakonicznym, lecz zawsze ostrym i dociekliwym rozwiązaniu".

Książka ukazała się w I kwartale br.

KULTURA PÓLSKA NA LITWIE

„Czerwony Sztandar" z dn. 17 lutego br., wychodzący w języku polskim w Wilnie zajmuje się jubileuszem Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Wilia", o którym obszernie swego czasu pisał tygodnik „Przyjaźń". Zespół polski jest najbardziej popularnym i zasłużonym zespołem artystycznym na Litwie. Artyści „Wilii" występowali w sali Filharmonii Litewskiej SRR, w Pałacu Kultury Zw. Zawodowych, we Lwowie, Rydze i Mińsku, zbierając zasłużone sukcesy.

Trzeba przyznać, że zespół dobrze zasłużył się dla popularyzacji naszej kultury.

WAJDA W „ISKUSSTWIE"

Wydawnictwo „Iskusstwo" wydało w I kwartale br. książkę poświęconą Andrzejowi Wajdzie, nakładem 30.000 egzemplarzy. O pracy w teatrze i filmie, o twórczych poszukiwaniach i osiągnięciach mówi w monografii o naszym znakomitym reżyserze krytyk Miron Czerenko. „Takie filmy, jak — Pokolenie, Kanał, Popiół i diament, Miłość dwudziestolatków — są najbardziej znane, najbardziej przenikliwe i aktualne w sztuce filmowej powojennej Polski. Są one zrealizowane przez utalentowanego polskiego reżysera Andrzeja Wajdę — żołnierza ostatniej wojny, posiadającego bogate doświadczenie życiowe".

WŁÓKNO SZUKA EDISONA

Dalszy ciąg ze str. 1

ki. Inżynier Musiałowski i koledzy z którymi współpracował otrzymali 12 tysięcy złotych tytułem nagrody. Do ręki wpadła im cała gotówka bez żadnych potrąceń. — Od podatku jak od śmierci nikt jeszcze nie uciekł. W tym wypadku zdołano uciec. Za nagrody i premie podatku się nie płaci.

Co wymyślił inżynier Musiałowski?

Wprowadził innowację na skręcarkach — zmalały „plątanki", zmniejszyła się obsługa.

Postęp techniczny we włóknie nie robi jednak rewolucyjnych skoków. Przemysł włókienniczy jest zachowawczy. Cechuje go jakby niechęć do karkołomnych z pozoru eksperymentów. Nie tylko u nas. Wszędzie dzieje się podobnie. Dlatego w fabrykach bawełnianych zaskakuje olbrzymia komasacja sprzętu. Jedna machina przylega do drugiej. Przejść trudno. Gąszcz w tym wszystkim i nieprawdopodobna gmatwanina. Agregaty, agregaty... nie ma im końca. Cykl jest przydługi, wielohałowy — w Łodzi też wielopiętrowy. Ludzi mrowie. W jednym łódzkim kombinacie krząta się tylu robotników, ilu się trudziło przy piramidzie Cheopsa.

Zasady przędzenia i tkania są te same od tysięcy lat.

Lniane wyroby starożytnych Egipcjan wprawiają w „British Museum" w takie samo osłupienie, jak mumia człowieka w sarkofagu. Człowiek sprzed 5 tysięcy lat zachował kępki jasnych włosów na głowie. Nigdy widoku tych włosów nie zapomnę. Zasuszony człeczyna leży na boku, ma podkurczone kolana i brązową skórę na kościstej twarzy. Jest owinięty tkaniną tak delikatną, tak cienką jak najlepszy chiński jedwab. Prząśnice, wrzeciona, krosna z kamiennymi ciężarkami — wszystko to było ludziom dobrze znane w okresie, rzec by się chciało, dyluwialnym. Ciekaw jestem, czy dożyjemy chwili, kiedy w okienko wsunie się belę egipskiej bawełny i wyjmie z drugiego gotową tkaninę — jak bochenek chleba.

Włókno nie znalazło jeszcze swego Edisona.

W czym zatem tkwi istota pomysłu rzeczywiście genialnego? W błysku myśli? W twórczej, opętańczej harówce? W oddawaniu do zera wszystkich eksperymentów z wyjątkiem ostatniego? Przytoczę słowa, które wyrzekł wielki mistrz zakonu wynalazców Tomasz Alva Edison — „Na geniusz techniczny składa się 1 procent natchnienia (Inspiration) i 99 procent potu. (Perspiration)". Iluż porażek musiał zaznać Edison, skoro zdobył się na takie sformułowanie! Wypowiedź genialnego wynalazcy mogłaby służyć u nas za propagandową ulotkę. To również niezłe motto, które być może, powinienem był umieścić na wstępie artykułu. Nic by też nie zaszkodziło, gdyby ten prosty cytat wywieszono w klubach techniki. Podstawy socjalizmu wcale by się od tego nie zachwiały. Wręcz przeciwnie. Nic tak się nie liczy w technice jak polot i nieludzka wytrwałość.

W „harnamowym" klubie haseł nie ma — są za to wygodne stoliki, jest rodzinny nastrój i telewizor.

Bocznym wejściem wszedł mężczyzna. Spojrzał bystro, przystanął, posłuchał i wypalił:

— Na odcinku racjonalizacji można spokojnie pracować. Ale jest zastój zamiast ruchu. Jakoś nie wszyscy czują potrzebę wniesienia do produkcji czegoś nowego. Kiedyś było w tym klubie więcej zebrań, więcej dyskusji, więcej życia. Teraz to jakoś oklapło. Mało kto do klubu zagląda. Nie jesteśmy z tego zadowoleni. Racjonalizatorzy wciąż jeszcze nie rozwiązali nam problemu części zamiennych. Nie ma tych części, a powinny być. Ja bym zaproponował — chodźmy do podręcznego magazynu na tkalni. Ubogo w nim, pusto. Czujników jak nie było tak nie ma. Więc gdzie ich szukać? Może nam towarzysze powiedzą?

Jeden z inżynierów szepnął — To sekretarz komitetu zakładowego towarzysz Włodarczyk.

W miarę jak sekretarz przemawiał, twarze inżynierów wydłużały się, nozdrza Musiałowskiego zaczęły latać.

Jednak nie zaoponował.

Fabryka to nie biuro. W fabryce ludzie mówią, co akurat myślą i nigdy z tego prawa nie zrezygnują. Mniej tu obłudy, mniej — całuję twoje raczki, mniej makiawelowskich gierek za czyimiś plecami. Brak tych plotkarsko-kawiarnianych obyczajów, które nie wiadomo kiedy zagnieździły się w tylu środowiskach inteligenckich. Inżynier wysłuchał zarzutów sekretarza bez jednego słowa. Może miał w pogotowiu ripostę? Nie zdążył jej użyć. Sekretarz jeszcze raz obrzucił spojrzeniem przebogate wyposażenie klubu i zniknął.

Nikt, kto przy zdrowych zmysłach, nie zaprzeczy, iż postęp techniczny staje się z wolna życiową koniecznością. Maszyna kupiona wczoraj starzeje się w postępie geometrycznym. Za 15 lat będzie już 100-letnią babką. Czołówka gna i gna, rzuca na rynek wciąż nowsze konstrukcje. Trzeba więc chociażby w starych dokonywać cząstkowych, ciągłych ulepszeń.

Czy istnieje jednak sprzyjający klimat, by racjonalizatorstwo puściło korzenie w każdej fabryce?

Jeden z dyrektorów:

— Przeszkodą jest tabela wynagrodzeń. Może należałoby dać więcej racjonalizatorom. To się opłaca. Każdy pomysł wprowadzony w życie amortyzuje się w ciągu półtora miesiąca. Typowy wniosek daje 100 tysięcy złotych oszczędności rocznie. Racjonalizator uzyskuje 5,7 procent tej sumy. Gdy wniosek przynosi milion złotych oszczędności, wówczas racjonalizator dostaje tylko 2,7 procent tej kwoty. Czy to ma być zachęta do składania pomysłów naprawdę ambitnych, pracochłonnych, odkrywczych? Czy za ślęczenie po nocach powinno się płacić karę?

Jeden z robotników:

— Tkacz, lub ślusarz bierze za usprawnienie nie więcej niż 200—300 złotych. A ile musi się przy tym nabiegać! Musi wszystko opisać, narysować, uzasadnić, obliczyć. Nie każdy ma chęć na to przekładanie papierków. Powinno być tak, że robotnik tylko zgłasza pomysł. Inżynier jest od tego, żeby to już sam rozpracował...

Jeden z inżynierów:

— Najpierw pracowałem w biurze. To był dziwny okres. Siedziałem całymi dniami nad planem i sprawozdawczością. Nic mi wtedy nie chciało przyjść do głowy. Zacząłem zgłaszać usprawnienia dopiero po przejściu na produkcję. Kiedy obserwuje się pracę maszyn, pomysły same przychodzą. Najważniejszy dla inżyniera jest kontakt z produkcją, tylko że nie zawsze tak bywa. W naszej fabryce pracuje na etatach przeszło 100 techników i inżynierów, a jednak 80 procent pomysłów racjonalizatorskich zgłaszają robotnicy...

Parafrazując znane powiedzenie można by rzec, iż dyplom to jeszcze nie koniec, to nie początek końca, to raczej koniec początku. Choć dyplom nie zawsze jest nawet takim skromnym początkiem. Ktoś to ładnie określił. Porównał talent do ptaka, który w gęstym lesie siada tylko na jednym drzewie. Nikt jednak nigdy nie wie, które to będzie drzewo. Ten ptak siada nie tylko na dachach politechnik. Tomasz Edison nie skończył College'u, nie kończył również szkoły powszechnej. W ciągu swego długiego życia przebywał na ławie szkolnej tylko przez 3 miesiące. To nie do wiary? Niby dlaczego? Gdybyśmy wartość jednostek zaczęli wymierzać ilością zdanych egzaminów, wówczas wszyscy byśmy się cofnęli do bzdurnych czasów chińskich mandarynów. Edison był najzwyczajniejszym samcukiem. Nigdy tego nie ukrywał. Chlubił się tym.

Czyżby ptak, który roznosi techniczne talenty złośliwie omijał Polonusów?

Pora wrócić do jegomościa znad jeziora Erie, do mister Henry Forda.

Ford w swej autobiografii skreślił kilka przyjemnych dla polskiego ucha zdań. Wspomniał, że ze wszystkich narodowości, które poznał w pracy, największym darem wynalazczym odznaczali się Polacy. „Nie było dnia, żeby jakiś Polak czegoś nie ulepszył". Ford z wyraźną predylekcją zatrudniał emigrantów z Galicji.

Być może, wskutek tej fordowskiej słabostki w Detroit, samochodowej stolicy świata, zamieszkało 300 tysięcy Polaków. Ford kierował się, jak tylu innych znanych Amerykanów, utylitaryzmem. To był wysokiej klasy praktyk. Podległy mu personel nie stanowił jak w antycznej tragedii tylko wtórującego chóru. Ford szukał indywidualności, solistów. Pozwalał im przemówić własnym głosem.

Czyż mógł inaczej, skoro konkurenci tylko czekali na potknięcie?

Co załatwia u nas problem postępu technicznego za murami łódzkich fabryk? Konkurencji przecież nie ma. „Marchlewski" w niczym nie rywalizuje z „Harnamem". W każdym razie ta rywalizacja nie posiada charakteru morderczej walki. Obie fabryki mają zbyt zapewniony. Dostawy surowca również. Fundusz płac jest murowany. Etaty są stałe. Dyrektor nie obawia się bankructwa. Majster nie lęka się zwolnienia. Inżynierowi nikt nie powie — Idź pan do diabła! Bo inżynier by wtedy poszedł do związku, do NOT, do komitetu. Poszedłby też do sądu. Wody są przeto spokojne, ustabilizowane. Nikt wprawdzie na takich wodach nie odkryje dalekich lądów. Nikomu nie grozi zawrotna kariera. Ale nikomu również nie spędza snu z oczu widmo życiowej klęski. Jakoś tam będzie. Niech się martwią ci na górze... Co powinno zatem być bodźcem do myślenia?

Sam fiskus, czy również ambicja, honor zawodu, świadomość, że to dla nas wszystkich?

Czy może wszystkie te czynniki winny rwać do przodu w jednym zaprzęgu? Doprawdy uwierzyć trudno, aby wszystkie mózgi zakładów „Harnama" warte były tylko 120 tysięcy złotych polskich rocznie. Oceniono je na 125 tysięcy, ale zabrakło sił, żeby wyczerpać nawet ten biurokratyczny limit. Pewno, że racjonalizatorstwa nie da się zadekretować. Można mu jednak torować drogę, lub spuszczać na nią szlabany. Być może finansowe bodźce są stępione, być może to jest jakaś przeszkoda. Kto jednak wie, czy najwyższa przeszkoda nie rozsiadła się w nas samych. Czy nie jest tą przeszkodą inercja, łatwe dojście do pensji, brak aspiracji, niechęć do wysiłku, którego rezultat zawsze jest problematyczny. Nic nie jest tak groźne w produkcji jak spokojna woda. Nosi ona pewien zarodek. Jest to zarodek technicznej klęski.

Zatem bunt jest potrzebny. Potrzebny jest bunt przeciw niedoskonałości maszyn.

Co jeszcze o „Harnamowcach"? Są dopiero na rozbiegu, jak daleko skoczą zależy tylko od nich. Także od techniki skoku.

JAN BĄBIŃSKI

KRYSTYNA WYRZYKOWSKA

Wyższe uczelnie — pragnienia — potrzeby — możliwości

Tylko cztery miesiące dzielą nas od momentu wielkiego szturmu młodzieży na wyższe uczelnie. W tym roku będzie on szczególnie dynamiczny i szczególnie chyba dramatyczny zarazem. Obecnie w klasach maturalnych uczy się 142 tysiące uczniów tj. o ponad 22 tys. uczniów więcej niż w roku ub. Rzecz jasna, nie pozostanie to bez wpływu na ilość zgłoszeń na studia — o czym sygnalizują wstępne badania przeprowadzone przez resort szkolnictwa wyższego w szkołach średnich całego kraju. Jak podała, na marginesie tych badań, prasa na studia wyższe wybiera się w tym roku ponad 61,5 tys. maturzystów, tj. o ponad 5 tys. więcej niż rok temu, z czego z liceów ogólnokształcących ponad 47 tys. Jest to co prawda procent niższy w stosunku do ogólnej liczby maturzystów liceum niż w roku ub. (w br. 60 proc.), niemniej możliwości lokalowe i kadrowe wyższych uczelni nie zdołają zaspokoić całej armii szturmujących, z której bardzo poważna liczba młodzieży będzie musiała odejść od bram politechnik, uniwersytetów, akademii i innych wyższych uczelni z kwitkiem.

Ogólnie i orientacyjnie biorąc wyższe studia rozpocznie w roku 1965/66 niecałe 33,5 tys. młodzieży i aczkolwiek brak jest jeszcze z niektórych ośrodków konkretnych danych można już dziś wnioskować, że liczba kandydatów na wszystkie wydziały będzie w tym roku wyższa. Średnio na 10 miejsc przypada ponad 18 zgłoszeń podczas gdy w roku ub. — 16 (cytujemy za informacją podaną przez PAP).

W trudnościach i kłopotach jakie zapowiada na nowy rok akademicki tegoroczny wyż demograficzny partycypują w niemałym stopniu łódzkie uczelnie wyższe, na studia w których wybiera się z **liceów ogólnokształcących Łodzi 80 proc. tegorocznych maturzystów, zaś z województwa łódzkiego — ponad 47 proc.** Prawie połowa z tej liczby próbować będzie szczęścia w egzaminach na Uniwersytet, aczkolwiek z góry wiadomo, że w tym roku szanse kandydatów nie będą wielkie. Według planowanych założeń na studia wyższe dostanie się w tym roku zaledwie 20—25 proc. ubiegającej się o przyjęcie młodzieży.

Tegoroczna reforma egzaminów maturalnych natomiast nie tylko spraw tych nie łagodzi, ale jeszcze podnieca nadzieje młodzieży. Można bowiem przypuszczać, że pozorne ułatwienia, jakie zapowiada reforma zostaną różnie w różnych ośrodkach szkolnictwa średniego przyjęte, co grozi jeszcze większym zróżnicowaniem wartości wydanych świadectw dojrzałości. Już dziś obserwuje się pierwsze tego jaskółki na swoistej giełdzie nie zawsze uzasadnionych opinii, według których w jednej szkole o czwórkę czy piątkę z przedmiotu jest łatwiej bądź trudniej niż w drugiej. **Tym większa więc potrzeba zastosowania odpowiedniego sprawdzianu przygotowania i dojrzałości maturzystów do studiów wyższych.**

Niedostatek uzdolnień i dojrzałości do samodzielnej nauki oraz lekkomyślny, bez osobistego zaangażowania wybrany kierunek studiów jest najczęstszą przyczyną nadmiernego odsiewu studiujących. Nie na wszystkich wydziałach przedstawia się on jednakowo. Np. na Filologii Polskiej procentowy stosunek wydanych dyplomów do ilości studiujących jest prawidłowy (89,8%), wyższy nawet w okresie ubiegłych pięciu lat, niż zakładają uchwały XI Plenum KC (80%). Ale już na Wydziale Matematycznym wynosi 49, zaś na Fizycznym 15%. Podobnie niekorzystnie przedstawia się ten problem na Wydziale Prawa, niektórych działach Ekonomii, Matematyki i Chemii.

Trudno jednak całą winą za taki stan rzeczy obarczać tylko i wyłącznie młodzież. Według najpoważniejszych autorytetów z dziedziny psychologii i pedagogiki owo **niezdecydowanie i niezorientowanie się we własnych możliwościach jest wśród młodzieży przed osiemnastym rokiem życia typowe i zastosować by należało szereg pomocniczych bodźców pomagających młodym w wyborze przyszłego kierunku studiów.** Niestety — w naszym szkolnictwie średnim czyni się w tej dziedzinie bardzo niewiele, co znów usprawiedliwić należy i tak przeładowanym programem nauczania, szczupłymi zasobami materialnymi szkół na zakup pomocy naukowych oraz przepełnieniem klas. Dotąd też nie wprowadzono obowiązkowych badań psychotechnicznych, jakim poddawana jest młodzież przedmaturalnych klas w innych krajach.

Tymczasem kraj zainteresowany jest w przygotowaniu coraz większej liczby wysoko kwalifikowanych kadr, którymi można byłoby obsadzić etaty w różnych instytucjach przemysłowych, komunalnych, oświatowych itp. typu.

Problemy te już teraz stają przed łódzkimi uczelniami wyższymi. Na UŁ kierunkami najbardziej ważnymi w aspekcie zapotrzebowania gospodarki krajowej są **mikrobiologia i biochemia,** których absolwenci są bardzo poszukiwani przez zakłady przemysłu spożywczego, laboratoria przemysłowe i szpitalne. Niestety, aczkolwiek UŁ posiada odpowiednią kadrę wykładowców, wskutek braku warunków lokalowych nie może rozwinąć skrzydeł. W roku 1965—66 Ministerstwo Szkół Wyższych zamierzało zwiększyć ilość miejsc na uczelni łódzkiej do 100 — uda się to tylko w połowie, z czego około 30 miejsc na mikrobiologii i około 20 miejsc na biochemii. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa na anglistyce, — a to z powodu braku wykładowców, na którą zapowiada się duży napływ kandydatów.

Również na Politechnice Łódzkiej to, co się robi sięga pułapu aktualnych możliwości lokalowych i kadrowych uczelni, mimo rosnącego zapotrzebowania, zwłaszcza na absolwentów tych wydziałów, na które Łódź ma monopol, jak wspomniana już chemia spożywcza, włókiennictwo jak również na mechaników i absolwentów budownictwa lądowego. **Na tych ostatnich również i Łódź oraz województwo łódzkie czekają z otwartymi ramionami.**

Według XI Plenum KC PZPR do roku 1980 wyższe uczelnie techniczne w Polsce mają wykształcić 300 tys. inżynierów. Od roku więc 1963 poczynając miano na Politechnice Łódzkiej zwiększyć rekrutację na studia. Niestety nie zwiększono i również w nowym roku akademickim nie zanosi się na poprawę wskutek — jak już wspomniałam **ograniczonych możliwości lokalowych uczelni. W porównaniu do potrzeb zbyt wolno rozwija się budownictwo uczelniane, ograniczone wciąż za szczupłymi nakładami inwestycyjnymi na te cele.**

Istniejąca sytuacja wymaga od pracodawców: instytucji, zakładów pracy, planowego i bardziej uzasadnionego gospodarowania kwalifikowaną kadrą. W praktyce jednak istnieje wiele instytucji, w których lokuje się absolwentów wyższych uczelni z magisterskimi tytułami na podrzędnych zgoła posadkach i to w warunkach, gdy stanowiska kierownicze zajmują ludzie bez kwalifikacji.

Politechnika Łódzka, której absolwenci w niemałym stopniu przyczynili się do rozwoju gospodarczego przemysłu różnych branż w naszym mieście **partycypuje w przeszło 10 proc. w kształceniu wykwalifikowanych kadr technicznych przez wyższe uczelnie tego typu całego kraju.** W niejednej specjalizacji jest też ona jedyna (wydział włókiennictwa, chemii radiacyjnej, chemii spożywczej). Jednakże zaspokojenie potrzeb gospodarki łódzkiej jest tylko pozorne, skoro się weźmie potrzeby jednej tylko, ale za to najpoważniejszej jej gałęzi: przemysłu lekkiego. Mimo stale następujących tu korzystnych zmian, spotkać można i dziś jeszcze takie zakłady, w których ważnym odcinkiem wiedzy technicznej kieruje człowiek zaledwie w technice przyuczony (na różnych kursach NOT itp., podczas gdy absolwenci PL — **magistrowie nie zawsze znajdują pracę, w której mogliby swą wiedzę, wyniesioną z uczelni a potwierdzoną magisterskim dyplomem w pełni i racjonalnie wykorzystać.**

Tego rodzaju politykę można usprawiedliwić odnośnie starych zasłużonych praktyków, ale nigdy wobec osób, u których ani wiek ani warunki nie usprawiedliwiają tak tolerowanego braku konkretnego wykształcenia. Czy nie ma tu więc miejsca dezorientacja w kadrach ze strony różnych jednostek nadrzędnych? Sama byłam nie tak dawno znowu, bo zaledwie kilka miesięcy temu, świadkiem delegowania w ważnej misji techniczno-specjalistycznej za granicę człowieka powszechnie uważanego za „mgr. inż." choć człowiek ten bynajmniej tak wysokich kwalifikacji nie posiadał. Konsekwencje takich posunięć nie trudno przewidzieć. Mówił o tym **swojego czasu na jednej z narad wiceminister przemysłu lekkiego. W. Kakietek, informując o wynikach kontroli dokonanej przez kierownictwo resortu, która ujawniła poważny procent maszyn importowanych z zagranicy, nie nadających się do wykorzystania w naszych warunkach.**

Piszę o tym w momencie kiedy w myśl uchwały Komisji Planowania przy RM, regulującej planowe zatrudnienie absolwentów politechnik, tylko nielicznym przedsiębiorstwom w Łodzi przyznano prawo przyjmowania absolwentów wyższych uczelni technicznych. („Elta", „Anilana" itp.). Olbrzymia więc większość tegorocznych absolwentów Politechniki Łódzkiej liczyć może na pracę tylko poza Łodzią, przede wszystkim na wielkich prowadzonych obecnie budowach przemysłowych. **Tu zapotrzebowanie jest olbrzymie i jak dotychczas wciąż jeszcze nie zaspokojone w pełni przez politechniki i średnie szkoły techniczne w kraju.** Są prócz tego takie działy jak np. chemia spożywcza, mechanika, elektronika których absolwenci są rozchwytywani i nierzadkie są przypadki kaperowania fachowców z jednej gałęzi przemysłu do drugiej. Natomiast w Łodzi, rzekomo nasyconej wysoko kwalifikowaną kadrą techniczną, faktycznie znalazłoby się niejedno miejsce dla fachowca do ujawnienia.

Politechnika i Uniwersytet w Łodzi, w których przynajmniej połowa studiujących to łodzianie tu zamieszkujący, muszą dokonywać nie lada wysiłku aby przekonać absolwentów o konieczności wyjazdu za pracą na prowincję. Nie do wszystkich argumenty te trafiają, stąd zjawisko niepodejmowania roboty w wyuczonym zawodzie. Wśród mgr inżynierów jest ono rzadsze jako, że dotychczas spora liczba absolwentów związana była umowami zawartymi na mocy tzw. stypendiów fundowanych przez zakłady pracy. **Natomiast absolwenci studiów humanistycznych, nie chcąc opuścić Łodzi chowają nierzadko dyplom uniwersytecki do kieszeni, biorąc się za jakąkolwiek robotę byle gwarantującą lepsze warunki niż w zawodzie wyuczonym.** Jest to złe zjawisko, przekreślające nie tylko wieloletni nakład pracy człowieka, ale i środki jakie na jego studia państwo preliminowało. Nie trzeba też przypominać, że prócz tego pogłębia ono jeszcze praktykę dyletanctwa w pracy, wskutek plasowania się ludzi na posadach systemem żywiołowym: gdzie komu wygodniej i gdzie można zarobić więcej.

FELIKS BĄBOL

ŁÓDŹ *przepiła* PIOTRKÓW

— Panie doktorze, jjjak bbo ga kkkocham, ppprzysięgam, że nnnie będę pił, bbbo... to tttrucizna...

— Niech pan mu nie wierzy, panie doktorze, on ciągle pije.

— Nnnie piję!

— Pije, panie doktorze...

— Niech się państwo nie kłócą — na to doktor — zastanowimy się co zrobić.

Oto głosy zza małego okienka, jakie zazwyczaj oddzielają kuchnię od stołówki. Prócz mnie jest tu pielęgniarka i kierowniczka świetlicy obok. Siostra dyżuruje przy prostokątnym stole, który w poradni na Lubelskiej jest jednocześnie i bufetem. Stoi na nim plastykowa miska z wodą do płukania szklanek, obok miski drewniane łopatki do mieszania roztworu, szklanki i księga z nazwiskami. To nie złota księga dzielnicy: wpisano w niej około 1500 nazwisk alkoholików, a alkoholicy to ludzie, z których przecież ani dzielnica, ani miasto, ani nawet oni sami nie są dumni.

Gdy pacjent wchodzi, siostra pyta o numer, robi „ptaszka" przy nazwisku, wręcza pastylkę anticolu i po chwili, gdy pacjenta już nie ma, może na nowo wrócić do rozmowy. **O wódce, o nieszczęściach jakie sprowadza, o ludziach, którzy powoli zatracają całe swoje człowieczeństwo, o tragicznych skutkach społecznych nałogu, o niektórych pacjentach, zdobywających się na wielki wysiłek woli.** Na przykład ten pacjent z Wiskitna: kilka razy w tygodniu przemierza pięć kilometrów w jedną i pięć kilometrów w drugą stronę, aby wypić jedną pastylkę anticolu w roztworze wody i mieć odrobinę zadowolenia z siebie, że oto czyni wszystko, co w jego mocy, żeby się wyrwać z upodlenia.

* * *

Na 15 tysięcy alkoholików w Łodzi systematycznie leczy się jakieś 5-6 tysięcy. Reszta błąka się po protokółach milicyjnych, po rejestrach Izby Wytrzeźwień, w sądach. Resztę wyławia milicja i sprowadza do przychodni, gdzie lekarze z nową energią zabierają się do starego recydywisty, przepisując kilka razy tygodniowo anticol, lub — kieruje alkoholika do Kochanówki. Tam się bowiem mieści 50-łóżkowy oddział dla alkoholików, a alkoholikowi wystarczy skojarzenie z chorobą umysłową, aby skierowania do Kochanówki unikać jak ognia.

Do Kochanówki kieruje się alkoholików trudnych, opornych, niebezpiecznych dla otoczenia, zakaźnie chorych (np. z gruźlicą). Ale skutków tego leczenia szpitalnego nie ma za wiele. Pacjent posiedzi tam niecałe trzy miesiące, trochę odwyknie, potem wraca na kilka dni do pracy, żeby zakład nie wymówił. Pokręci się człowiek po fabryce, popije zdrowo parę razy i znów do Kochanówki.

Są rekordziści, którzy wracają tu po 7 i 8 razy. Wszystko nie ma nic wspólnego z konsekwentnym leczeniem. **Bo, zdaniem lekarza, alkoholikowi najlepiej zrobiłby zakład zamknięty (podobny do zlikwidowanego w swoim czasie zakładu w Głazie), w którym leczyłby się i jednocześnie pracował.** Chodzi przecież o dobro rodziny pijaka, o zmniejszenie do minimum społecznych skutków pijaństwa. I lekarz daje przykład lecznictwa przeciwalkoholowego w Szwecji: sąd osadza pijaka w takim właśnie zakładzie pracy, a terapia trwa półtora czy nawet dwa lata. Pacjent leczy się i pracuje, przy czym znaczna część zarobków przesyła się rodzinie.

U nas na leczenie alkoholików miasto wydaje ponad półtora miliona zł rocznie, drugie tyle idzie na propagandę antyalkoholową, a skutki? W odczuciu społecznym ludzie wcale nie piją mniej, niż pili, skutki alkoholizmu bynajmniej nie łagodnieją. Oto kilka danych z pracy J. Urantówki zamieszczonej w „Zeszytach Studiów" Głównego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego (Warszawa 1963):

● Dyr. Wojewódzkiej Poradni „W" w Łodzi, dr Leon Nitecki twierdzi, że 90 procent zarażeń chorobami wenerycznymi to skutki kontaktów pod wpływem alkoholu,

● W Domach Dziecka na 900 dzieci aż 217 to dzieci alkoholików;

● W jednej dzielnicy na 87 pozwów rozwodowych w 19 przypadkach przyczyną rozwodu był alkoholizm jednego z małżonków;

● W Izbie Wytrzeźwień w ciągu trzech lat spędziło noc 27 tysięcy łodzian;

● 200 zbadanych alkoholików przepracowało w jednym miesiącu tylko 3931 dni zamiast 5200;

● Kilkanaście procent wypadków drogowych stanowią kraksy spowodowane przez nietrzeźwych kierowców...

Ale to tylko zewnętrzne, statystyczne przejawy alkoholizmu. Głębsze spojrzenie na zjawisko jest możliwe po wnikliwym zainteresowaniu się sytuacją rodziny alkoholika. Rewelacje stanowi tu praca dr Aleksandry Majewskiej, która zebrała wyniki badań 200 dzieci ze 112 rodzin alkoholików w Łodzi. Niektóre wypowiedzi są wstrząsające.

„Gdy nadchodzi okres picia, ojciec zupełnie nie dba o rodzinę, doprowadza dom do ruiny materialnej, do nędzy".

„Jak przyszedł w nocy pijany, przyniósł czekoladę. W nocy o pierwszej budzi dzieci, daje im czekoladę. Rozespane nie wiedziały co się dzieje — płakały. Ojciec wyrzucił czekoladę oknem. Krzyczał potem na dzieci".

„Pobił matkę do krwi. Grażynka w obronie matki rzuciła się z haczykiem na ojca. Wówczas okrutnie zmaltretował dziewczynkę. Zdążyła jednak wyrwać się i polecieć po milicję. Matka pokrwawiona, posiniaczona nie miała sił aby się podnieść..."

„Matka chowa siekierę i noże, nie śpi, bo ojciec wciąż grozi: ja z wami porządek zrobię. W wigilię połamał choinkę, a żonę z dziećmi wyrzucił w nocy. Dzieci z matką uciekają przed pijakiem nocując na schodach, w piwnicach, komórkach".

* * *

Wróćmy jednak na ulicę Lubelską, do dzielnicowej poradni, gdzie szukając sposobów oddziaływania na poczucie człowieczeństwa, szukając dróg do umocnienia w alkoholiku gasnących resztek wartości, uruchomiono świetlicę.

Ale nie ma spokoju w przychodni na Lubelskiej. Co chwilę ktoś dzwoni, sprawdzając, czy mąż przyszedł po anticol, raz po raz wejdzie ktoś do lekarza, aby się poradzić, nabrać odwagi na następny tydzień kuracji. Dzwonią też małe dzieci, sprawdzając, czy numer taki i taki przyszedł po pastylkę, telefonują żony, które daremnie od kilku dni czekają na męża w domu.

Przerwanie na jeden dzień kuracji i „popłynięcie w Polskę" często sprowadza nieszczęście. Połączenie anticolu z wódką czyni bowiem w organizmie prawdziwe spustoszenia: od zaczerwienienia na twarzy i ataku duszności aż do zapaści i utraty przytomności. Zależnie od odporności organizmu. Tak samo, jak z denaturatem. I w tej dzielnicy ludzie piją denaturat, ale wielu z nich nie zdaje sobie sprawy z działania trucizny.

Siostra z Lubelskiej przypomniała sobie jedną taką scenę. Do sklepu wchodzi facet i mówi:

— Poproszę flaszkę denaturatu...

— Nie mamy na razie — odparła sprzedawczyni.

— No to może jakieś tańsze wino...

Ale scen takich, niestety, nie brak w naszym życiu.

Ludzie, którzy zapomnieli już, że są ludźmi, piją nie tylko denaturat. Któregoś dnia w kiosku obok szpitala w Kochanówce alkoholicy wykupili cały zapas wód kolońskich.

Zdarzają się zdecydowani degradaci. Oto jeden z nich. **Średnie wykształcenie, człowiek na kierowniczym stanowisku — po paru latach picia sprzedał mieszkanie, stracił pracę, bo jak długo można tolerować pijaka w biurze?, rozszedł się z żoną... Ostatnio widuje się go w barach mlecznych, gdzie pomaga personelowi przy sprzątaniu, przy okazji wyjadając resztki** z talerzy. Przychodnia chciała mu pomóc, znalazła jakąś pracę, ale szybko i tę stracił.

Czy więc dla alkoholika nie ma ratunku? Opinia lekarzy jest na ogół taka: tych, którzy po okresach leczenia i walki z nałogiem nie wracają już do wódki, jest niewielu — jakieś pół procent zaledwie.

Ale z mężczyznami — twierdzą specjaliści — jeszcze pół biedy. Gorzej z kobietą alkoholiczką. Jeśli już pije nałogowo, to wyleczyć ją znacznie trudniej, niż mężczyznę. Słabsza wola. I sam los kobiety-alkoholiczki jest o wiele smutniejszy. W Kochanówce na przykład nie ma oddziału dla pijaczek, więc upycha się je po oddziałach psychiatrycznych, a to nie wychodzi na dobre ani tym kobietom — które sprowadzono na leczenie odwykowe, ani tym chorym nerwowo, z którymi alkoholiczki przebywają.

* * *

Wchodzą do pokoju przesadnie ugrzecznione, nadrabiają minami, że aż litość bierze. Niektóre z nich stworzyły sobie własną filozofię życia. O jednej takiej, która właśnie przed chwilą wstąpiła po anticol, ale po wypiciu roztworu rozgadała się jak przystało na stałą klientkę, mówi lekarz jak o klasycznym przykładzie alkoholowej schizofrenii i całkowitego zagubienia się duchowego. Jest szczęśliwa na swój sposób. Ciosy losu i skutki swego upadku przyjmuje jako rzecz naturalną, pogodnie, nie jest niebezpieczna, ani dla siebie, ani dla otoczenia, dla obcych ludzi, na pokaz stara się objawiać wszystko to, co według niej cechuje ludzi normalnych nie dotkniętych nieszczęściem.

Fot. W. PLEWIŃSKI

Siostra przeprowadzała kiedyś wywiad rodzinny w jej domu. Jedna izba, kilkoro dzieci, oprócz tych, które zabrano do Domu Dziecka, trzy łóżka bez żadnej pościeli, jedno połamane krzesło. Mąż na rencie, ale nie ma go w domu. Ona nie pracuje, bo „jak wyszłam za mąż — mówi — to nie po to, żeby pracować...". Od dawna oboje upijali się czym popadło, piwem, denaturatem. **Od czasu do czasu zachodzi w ciążę, ale nie zdaje sobie sprawy, co to jest mieć dziecko, mimo, że rodziła już z dziesięć razy („kilkoro zmarło z brudu i głodu" — mówili sąsiedzi),** ostatnie zaś upuściła pijana na ulicy, więc ludzie dziecko podnieśli z chodnika i postarali się o miejsce w Domu Dziecka. Nędza aż piszczy. Siostra w rozmowie z nią, gdy przychodzi po anticol, stara się wejść w ten absurdalny świat zmagań, pyta ją więc o codzienne sprawy. Jak sobie radzi, czy ciężko jej przed pierwszym?

— Jak mi czasem zabraknie, to pożyczam od szwagra, jest referentem w biurze, to zawsze mi pomoże.

— Oczywiście, potem pani mu oddaje...

— Tak, jak mąż dostanie rentę, to zaraz oddaję.

Włącza się do rozmowy kierowniczka świetlicy.

— A książeczka podobała się?

— Bardzo, już czytam na czternastej stronie...

Czyta właśnie „Ostatnie lato".

* * *

Zajmujemy się właściwie tylko brutalnymi skutkami alkoholizmu. To jednak tylko margines zjawiska alkoholizmu w naszym społeczeństwie, przerażający czasem, ale margines. Zjawisko jest bowiem szersze i starsze.

Wódka weszła w krew, stanowi powszechnie uznawany element tzw. życia towarzyskiego, a że okazji do „oblewania" w życiu każdego z nas wiele, więc alkohol leje się strumieniami. **Na cukier na przykład każdy statystyczny mieszkaniec Łodzi wydaje rocznie 305 zł, na mleko 208, na masło 352 zł, ale na wódkę aż 731 zł.** („Więc co — kupimy sobie pół litra i bułkę? — Po co tyle bułek...?) Z tego zestawienia wydatków wynika już, że wódka jako zjawisko masowe ograbia obywateli z sił i zdrowia, a jeśli tak, nie może to być obojętne z punktu widzenia zdrowia społecznego, wartości społeczeństwa.

Wódka wdarła się też do stosunków międzyludzkich jako czynnik „ułatwiający" życie, rozwiązujący języki, „pomagający" w załatwieniu wielu spraw („przez bufet"), utarło się nawet przekonanie, że wśród zawodów i stanowisk, jakie ludzie zajmują, jest wiele takich, które wymagają umiejętności picia (kelnerzy oraz ludzie, których funkcje wiążą się z częstym uczestnictwem w „otwarciach", bankietach i „lampkach wina"). Alkoholizm tych wszystkich ludzi nie objawia się w życiu społecznym tak brutalnie, bo to i wyższy poziom umysłowy i łagodniejsze skutki i — jakby powiedział prof. Batawia — powolniejsze osłabianie procesów hamowania z jednej strony, z drugiej zaś — powolniejsza degeneracja mechanizmów pobudzenia.

Ta grupa pijących jest jednak znacznie liczniejsza od tej, którą zajęliśmy się w pierwszej części artykułu. I ta grupa też ma swój największy udział w wielkim kapitale przepijanych pieniędzy, za które w ciągu ostatnich 20 lat powojennych Łódź mogłaby zbudować cały Piotrków. Gdyby nie piła... Bo Łódź przepija rokrocznie ok. 400 milionów zł (w latach 1956—59 przepijała nawet 487 mln zł) czyli razem przepiła około 8 miliardów zł. A 8 miliardów to już kwota, za którą moglibyśmy wybudować 100-tysięczny Piotrków, obok starego Piotrkowa Trybunalskiego.

No, ale cóż? Nie wybudowaliśmy i już chyba nie wybudujemy...

GRYPA

W ciągu minionego miesiąca zanotowano w Warszawie 115 tysięcy zachorowań na grypę. Na szczęście tegoroczna epidemia nie pociąga za sobą ofiar śmiertelnych. Nie zawsze była ona tak łagodna.

Dziwna historia z tą grypą. Zdawać by się mogło, iż skoro wynaleziono sposoby zapobiegawcze przeciwko szeregu poważnym chorobom również z grypą medycyna dawno już powinna się uporać. Szczepienia ochronne przeciw grypie stosowano już wielokrotnie — uzyskane efekty były bardzo mierne.

W 1963 r. w Stanach Zjednoczonych przeprowadzono wielką akcję szczepień ochronnych przeciwko grypie. Zaszczepiono około 40 milionów osób. Wkrótce potem wybuchła jedna z najcięższych epidemii grypy. Pociągnęła ona za sobą około 12 tysięcy ofiar śmiertelnych. Trudno zresztą określić skutki grypy w absolutnych cyfrach, gdyż nie tyle grypa jest przyczyną zgonów co inne choroby pogrypowe, np. zapalenie płuc.

W czasie trwania wspomnianej epidemii grypy w USA w 1963 r. stwierdzono jednak ponad wszelką wątpliwość, iż szczepienia miały działanie ochronne, choć skuteczność ich nie była większa niż 25 proc. Początkowo winę za tę małą efektywność szczepionki przypisywano niedokładnym metodom badawczym, wadom procesu otrzymywania i in. Dodatkowo przeprowadzone badania wykazały jednak, iż sprawy są znacznie bardziej skomplikowane: szczepionka była dobra, jedynie grypa była... nie ta.

Otrzymywane dotychczasowymi metodami szczepionki na ogół uodparniają organizm na jeden konkretny rodzaj bakterii czy wirusów. Zdolność przystosowawcza bakterii, będących niezwykle skomplikowanymi i wysoko zorganizowanymi ustrojami w stosunku do wirusów jest ogromna; najlepszy dowód to niezwykle szybkie uodpornienie się bakterii na antybiotyki. Zdolność przystosowywania się wirusów jest jednak jeszcze większa. Posiadają one ogromną zdolność do zmiany struktury, tworzenia nowych odmian czy mutacji. Wirus przeciwko któremu zaszczepiono Amerykanów w 1963 r. już wtedy nie istniał. Nowa jego odmiana w niewielkim jedynie stopniu przypominała swego poprzednika. Dlatego to przeprowadzone szczepienia ochronne nieznacznie tylko przyczyniły się do złagodzenia przebiegu epidemii.

Tak więc pozostaje nam tylko czekać, aż biologowie potrafią otrzymywać szczepionki o szerszym działaniu, gwarantujące ochronę nie przed jedną odmianą wirusa czy bakterii, lecz możliwie szerokim wachlarzem ich mutacji. Na pocieszenie wypada dodać, iż epidemie grypy powtarzają się co dwa, trzy lata i co najmniej następny rok będziemy mieli od niej wolny.

L. U.

UPADEK

25 lipca 1943 roku o godz. 17-tej przed rzymską Villa Savoia zajechała ciężka pancerna limuzyna: to Benito Mussolini przybył na zapowiedzianą audiencję do króla Wiktora Emanuela. Straż przyboczna wodza włoskiego faszyzmu zatrzymała się przed portalem pałacu i nie spostrzegła, że w pół godziny później boczną bramą, ukradkiem, wywieziono aresztowanego dyktatora Włoch, w karetce sanitarnej.

Duce był chory, jego lekarz przyboczny doktor Pozzi przed dwoma miesiącami powiedział pewnemu dyplomacie — „To już tylko zwłoki". A poseł japoński podczas ostatniego widzenia z Mussolinim zbyt nawet głośno ubolewał — słyszeli to i inni przedstawiciele korpusu dyplomatycznego — „Duce, pan jest wyczerpany, pan jest bardzo wyczerpany, pan jest zupełnie wyczerpany". Mussolini od jakiegoś czasu chętnie powtarzał, iż zaniechał przypisanych mu kuracji, bowiem nie interesuje go już kwestia zdrowia: w swej kabotyńskiej pozie na antycznego męża stanu i filozofa, coraz częściej podkreślał pogardę dla spraw doczesnych. Była to zresztą poza wynikająca z nerwowej, wręcz histerycznej reakcji na klęski jakie na kraje osi w 1943 roku spadały już ze wszystkich stron.

Ale przecież nie choroba spowodowała, że z pałacu królewskiego wywieziono Musolliniego w karetce sanitarnej. Wiktor Emanuel III drobny, ruchliwy i nadmiernie ambitny zorientował się, że oto wybiła godzina, w której może się zrewanżować za upokorzenia jakie znosił przez całe dziesięciolecia. Grupa czołowych generałów włoskich nalegała na króla, by odsunąć Mussoliniego od władzy i w pertraktacjach szukać wyjścia z sytuacji w jakiej znalazły się Włochy.

Anglosasi wykorzystywali swych przedstawicieli przy Watykanie by docierać do wioskiej rodziny królewskiej i oferować coraz nowe warunki pokoju, które wycofanie się Włoch z wojny uzależniały właściwie już tylko od ustąpienia Mussoliniego. Naród włoski wyniszczony długoletnimi rządami faszyzmu i ciężką wojną nie krył swej nienawiści do Mussoliniego. Jedynym więc jego sprzymierzeńcem pozostawał tylko Adolf Hitler, który właśnie w tym czasie wobec coraz cięższych klęsk militarnych w Afryce uznał Włochy za bastion broniący Europy przed Aliantami. W połowie 1943 roku Hitler spotkał się z Mussolinim: rozmowy trwały 4 dni, po czym Goebels oznajmił przedstawicielom koalicji faszystowskiej: „Führer przez cztery dni omawiał z Duce sytuację, przekonał go o pewności naszego zwycięstwa. Mussolini wrócił do dobrej formy".

W tym samym czasie niemiecka służba wywiadowcza doniosła o spisku wymierzonym przeciw Mussoliniemu, który zataczał coraz szersze kręgi. System państwowy włoski zachował bowiem pewien szczególny przeżytek: oto równolegle do dyktatury faszystowskiej istniała a raczej wegetowała monarchia. Legenda o tym, że Duce jako premier, powołany został do pełnienia swych funkcji przez króla, miała teraz stać się źródłem jego klęski.

W lutym 1943 roku król przyjął Dino Grandi przedstawiciela wewnątrzpartyjnej faszystowskiej opozycji, który w sposób kategoryczny zażądał od króla zakończenia wojny. 6 marca 1943 roku marszałek Badoglio uzyskał audiencję, w czasie której wskazał królowi w sposób niesłychanie drastyczny na coraz bliższą zupełną klęskę Włoch. I tym razem nazwisko Mussoliniego padło jako nazwisko winowajcy. 13 marca szef sztabu Ambrosio zażądał od króla by Duce przekazał swe uprawnienia wojskowe któremuś z

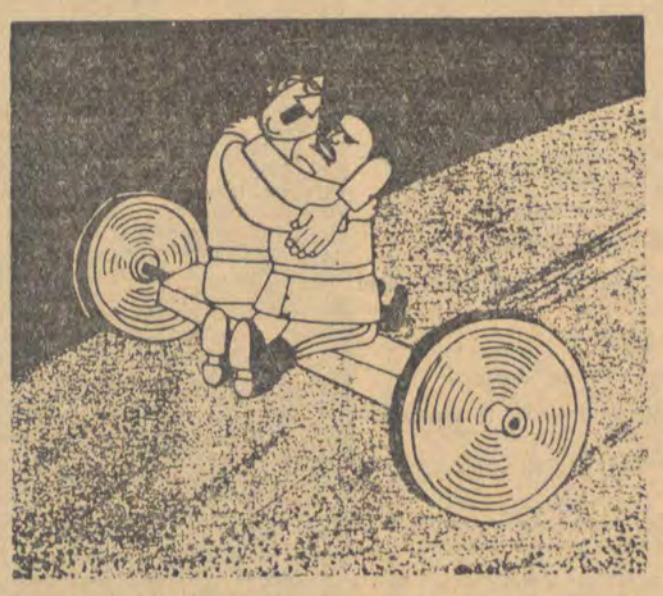

Rys. Zenon Wasilewski

generałów. 16 marca admirał Baistrocchi zażądał od króla utworzenia rządu wojskowego.

Cała ta gra polityczna była zresztą Mussoliniemu znana: donosiła mu o niej tajna policja. „Cóż to za chór defetystów!" — powiedział w rozmowie z królem. Sytuacja ta nie była niczym nowym: wśród arystokracji rzymskiej od lat kipiało od intryg politycznych i Duce był do nich przyzwyczajony. Może nawet mu one w jakimś stopniu pochlebiały:

„Jestem jedynym silnym wśród słabeuszy!" — powiedział w czasie jednej ze swych ostatnich rozmów z królem. Tym nieopatrznym słowem raz jeszcze boleśnie dotknął filigranowego i na tym punkcie przeczulonego Wiktora Emanuela.

Tymczasem Grandi doprowadził do posiedzenia Wielkiej Rady Faszystowskiej. Mussolini do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, iż może ona doprowadzić do jego upadku. Grandi starał się zresztą do końca zachować pozory legalności, chociaż członkowie Rady, którzy byli nastawieni przeciw Mussolinjemu przynieśli na wszelki wypadek w teczkach granaty ręczne, a przedtem wielu z nich wyspowiadało się — in articulo mortis — oczekując iż dojdzie do próby sił i przelewu krwi. Tymczasem po wielogodzinnych naradach Mussolini, który nie wykazał w tym dniu ani śladu swej zwykłej energii, zgodził się na przegłosowanie dwóch zasadniczych zmian: chodziło po pierwsze — o przekazanie władzy wojskowej w ręce króla i sztabu generalnego, a po wtóre o oczyszczenie administracji państwowej z zupełnie ją paraliżujących nadbudówek dyktatury. Wielka Rada Faszystowska głosowała za tymi propozycjami Grandiego, za Mussolinim opowiedziało się tylko 7 członków rady, przeciw niemu 19, w tym i jego zięć hrabia Ciano.

Apatia Mussoliniego trwała jednak tylko parę godzin. Już nazajutrz Duce oświadczył, że Wielka Rada ma tylko funkcje doradcze i nie może o niczym decydować. W tym duchu postanowił Mussolini narzucić raz jeszcze swą decyzję królowi. I ta właśnie audiencja w pałacu królewskim skończyła się aresztowaniem Mussoliniego.

Mussolini został formalnie aresztowany przez generała Puntoni. Skłonność Duce do komediancklch gestów ujawniła się i tym razem: pożegnał się z królem przesadnie serdecznym uściskiem. Do zebranych powiedział tylko: „Włochy, panowie, Włochy!" po czym posłusznie wsiadł do karetki pogotowia konwojowanej przez wyższych oficerów. Marszałek Badoglio w tym czasie już przejmował pełnię władzy. Zawiadomiony o tym Duce odręcznie napisał list do nowego szefa rządu.

„Dziękuję panu, Panie Marszałku, — pisał Duce — za uwagę poświęconą mojej osobie i obiecuję nie czynić żadnych trudności, a co więcej, jeśli tylko będzie to dla mnie możliwe, w mojej obecnej sytuacji, mam zamiar wspierać pana poczynania, które uważam za słuszne."

W tym samym liście prosił Mussolini o pozwolenie na zamieszkanie w swojej wiejskiej willi w Romagna. Zbyt jednak obawiano się b. dyktatora i zapadła decyzja by umieścić go w więzieniu na wyspie Ponza koło Neapolu, gdzie znajdował się m. in. Pietro Nenni, a także Zaniboni, zamachowiec który strzelał w 1925 roku do Mussoliniego. Mussolini w więzieniu zajął się błahymi pracami literackimi, tłumaczył na język niemiecki stare włoskie teksty, wielokrotnie powtarzał: „Jeśli człowiek zbudował jakiś system, poświęcił tej pracy całe swoje życie i w sześćdziesiątym roku swego życia przeżył upadek tego systemu, to nic już się tu nie uda uratować."

Innego zdania był jednak Adolf Hitler, który w tym właśnie czasie zaaprobował plan Skorzenny'ego: ten awanturnik o wysokiej randze w SS, zamierzał początkowo z małą tylko grupką dywersyjną wyswobodzić Mussoliniego. Plan się nie powiódł bowiem samolot Skorzenny'ego przymusowo wodował i jego grupa specjalna została niemal cudem uratowana przez załogę ścigacza niemieckiego. Wiedział już coś o tej akcji i wywiad włoski, bowiem Duce został szybko przewieziony do ciężkiej twierdzy w Gran Sasso. To miejsce przebywania Mussoliniego było otoczone najściślejszą tajemnicą. Ale oto już 12 września 1944 roku Skorzenny i jego ludzie wylądowali w Gran Sasso na małych samolocikach Fieseler Storch, bez trudu obezwładnili straż więzienną i oswobodzili b. dyktatora Włoch. 14 września Mussolini był już w Wiedniu tego samego dnia po południu w Monachium dziękował za oswobodzenie swemu najdroższemu przyjacielowi Adolfowi Hitlerowi.

Było to dziwne spotkanie, parę godzin przedtem pod biurkiem Hitlera eksplodowała bomba, z frontów nadchodziły coraz gorsze wieści, stawało się oczywiste, że wojna jest przegrana. „Proszę mi wierzyć, że traktuję pana jako swego jedynego, naprawdę jedynego przyjaciela" — powiedział Duce do Hitlera, a po powrocie do swej kwatery oznajmił już nieco innym tonem: „Niemcy raz jeszcze dali nam nauczkę i pokazali jak należy działać". Te słowa stały się wyrokiem śmierci na wszystkich niemal przywódców ówczesnej opozycji faszystowskiej z hrabią Ciano na czele.

Łodzianin między peronami

JERZY URBANKIEWICZ

Łodzianin między peronami — to łodzianin przesiadający się, łodzianin wyposażony w połowę tej ilości rąk, jaka by mu się właściwie przydała, biorąc pod uwagę nagromadzenie walizek, neseserów, naczyń, toreb, wędek i nieletnich dzieci — jeśli już zostawimy własnemu losowi ponaglającą do pośpiechu a zdenerwowaną żonę.

Oto jego historia.

Poszedł do „Orbisu" na dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem i dowiedział się, że biletu do Niechorza nie dostanie, bo je już wyprzedano. Jakimś cudem kupił bilet później na dworcu, a następnie nie mniejszym cudem dostał się wraz z wymienionymi wyżej dodatkami do wagonu.

— Tatusiu, to cudowna podróż!

— Kpisz, smarkata, ze starego ojca!

— Ależ nie! Bilet dostaliśmy cudem, do wagonu wsiedliśmy cudem...

— Jeszcze potrzebujemy co najmniej czterech cudów, aby się dostać na miejsce.

Dowcip, zawarty w powyższej, rodzinnej wymianie myśli dedykujemy Dyrekcji PKP w Warszawie z serdecznymi życzeniami podobnych doznań.

Następny cud ziścił się w Kutnie, gdzie udało się wsiąść do pociągu szczecińskiego. W Szczecinie-Dąbiu w następstwie dramatycznego wysiłku wdarli się do pociągu idącego na Trzebiatów, tu zaś ujrzeli tylko pióropusz dymu nad lasem — dowód, że wąskotorówka uciekła, więc sobie dzieci przez godzin parę zbierały polne kwiatki, rodzice klęli, za co ich Bozia ukarała tak powolną kolejką, że się w Niechorzu zastanawiali, czy nie zrezygnować z nasyconego jodem powietrza na rzecz ukojenia skołatanych „nerw" i nie wrócić do rodzinnej Łodzi niezwłocznie.

Następnym razem spragniony jodu łodzianin wybrał się inną trasą. Pojechał do Kołobrzegu pociągiem o 22.27, przybył tam około ósmej rano. Natomiast pociąg do Niechorza odszedł o godzinę wcześniej — zgodnie z planem. Tym razem łodzianinowi odechciało się zamierzonego odpoczynku w Kołobrzegu.

Rzecz w tym, że na zachodni odcinek Wybrzeża wiedzie jedna droga ku Szczecinowi, a potem w prawo po Wybrzeżu, druga zaś do Kołobrzegu i na lewo wzdłuż Wybrzeża, ale nie ma siły, która na przestrzeni lat kilku umiałaby skłonić czynniki do zsynchronizowania owych skrętów w lewo i prawo z ruchem kolejowym przez Polskę. Niewątpliwie — cierpią na tym nie tylko łodzianie, ale również ci wszyscy rodacy, którym w przychodzą do głowy lepsze pomysły.

Niedawno, bo we wrześniu ubiegłego roku zaczął kursować pociąg z Łodzi do Białegostoku. Bardzo był on potrzebny i fakt jego uruchomienia dowodzi, że warszawska dyrekcja czasami przecież bierze pod uwagę potrzeby Łodzi. Otóż z Białegostoku wiedzie prościuteńka jak strzelił droga do Ełku. Może by nam tędy jeździć na Mazury, drapiąc się raczej lewą ręką po prawym uchu? — Pewnie, że można by i tak, ale tu znów potrzebne są księdze przeznaczeń napisano: „będziesz jeździł koleją". Ale łodzianie cierpią specjalnie, czego dalsze dowody czytelnik znajdzie niżej.

Zapracowana Łódź, pragnąca wytchnienia miota się — zimą na południe, latem ku północy, z pewnymi odchyleniami od tych tendencji. Skoro już zaczęliśmy od kierunków letnich, to kontynuujmy je, bez względu na przedwiosenną porę, bo przecież czas mknie szybciej i bardziej konsekwentnie niż nasze koleje państwowe i ani się obejrzymy, jak nas pociągnie na północ, do bałtyckiej lodówki, albo też prosto pomiędzy mazurskie komary.

Na Mazury łodzianin może się dostać, drapiąc się prawą ręką po lewym uchu, to znaczy przez Toruń do Olsztyna. Do niedawna pociąg ten pozostawał w takiej zgodzie z czasem, że zjawiał się w Olsztynie po godzinie dwudziestej, czyli wtedy, kiedy brak było jakichś połączeń do Giżycka czy Mikołajek, a autorzy rozkładu słusznie liczyli, że skoro tą trasą dąża na jeziora szyprowie, sternicy i inne wilki morskie, „lekce sobie ważące" dach nad głową i bieżącą wodę, to bez większej przykrości przenocują na olsztyńskim dworcu, a — jak mówi rosyjskie przysłowie — „utro wiecziera mudrennieje", co znaczy, że rano człowiekowi połączenia Białegostoku z Ełkiem a jak uczy historia niełatwo je uzyskać.

Nie można pominąć wspomnianych wyżej odchyleń od owych zasadniczych tendencji: zimą — południe, latem — północ. Miłośnicy gór odzianych w letnią szatę mają wprawdzie codzienne połączenia w kierunkach takich jak Zielona Góra czy Jelenia Góra. Ale na przykład pociąg odchodzący do Jeleniej Góry o godz. 20.02 chodzi tak przepełniony, że należałoby przed nim puścić pociąg do Kudowy i Ustronia Śląskiego, aby zabrał część pasażerów.

Tak wyglądają problemy letnie.

I oto wraz z krzykiem odlatujących żurawi wracamy do Łodzi, leczymy jesienną grypkę i pomaleńku szykujemy narciarskie buty, by sobie z pierwszym wiosennym słoneczkiem wyjechać na Gubałówkę, obejrzeć Giewont przez lunetę i poleżeć na leżaku. Aby te śmiałe plany (może kto ma inne — to proszę!) zrealizować, znów stykamy się z usługami świadczonymi przez PKP, czy też z usługami, które powinny być świadczone przez PKP.

Pociąg do Zakopanego chodzi bezpośrednio tylko w pewne dni. W inne amatorzy wyjazdu przychodzą do „Orbisu" i pytają: „Czym mam jechać?" Pracownicy „Orbisu" odpowiadają: „Nie wiemy". I rzeczywiście nie wiedzą. Załatwiałby sprawę pociąg kursujący co drugi — trzeci dzień — rzecz nie do osiągnięcia. Nie mniej kłopotliwe są połączenia z Krynicą. Tam jeździ wiele osób chorych. Niestworzenie im — jak dotąd — bezpośredniego dojazdu z Łodzi, bez przesiadki w Koluszkach lub Krakowie, jest dla nich dużym utrudnieniem. Tu należałoby, uwzględniając początek i koniec turnusów w sanatoriach, wprowadzać choćby wagony bezpośrednie, doczepiane do pociągu Łódź—Zakopane (22.25).

Oprócz łodzian szusujących i łodzian — szyprów mamy sporą ilość takich, których zdaniem — niech sobie Ganges, Sorrento, Krym pod niebo inni wynoszą, a oni — ulegając namowom TKKF-u — do Grotnik. Niedaleko. Ale pieszo nie pójdą. Natomiast pociągiem w niedzielę można o siódmej, o ósmej i dziesięć przed dziewiątą. Jeżeli do dziewiątej lało, to już nie. Pociągu więcej nie ma.

Za to wieczorem przewietrzony i radosny chcesz się dostać do Łodzi i — nic z tego! Siedź, bracie, w lesie, skoroś tu przyjechał. Idą pociągi co godzinę ale pełne ludzi i zaduchu wyprodukowanego w Toruniu, Bydgoszczy, Kutnie. Jeśli ci się nie udało wepchnąć do ostatniego, tego o 22-ej, to śpiewaj harcerską piosenkę i dzwoń do personalnej z obietnicą, że kwiatkiem wyrównasz spóźnienie do pracy w poniedziałek. Podobną sytuację mają miłośnicy Kolumny.

I jeszcze problem. Jest Łódź siedzibą kilku central handlu zagranicznego, a z klientów nie każdy przyjeżdża taunusem czy mercedesem, wielu natomiast pociągiem. Na komunikację Łódź—Warszawa na ogół narzekać nie można. Ale popołudniowy pociąg 14.58 odchodzi na 32 minuty przed zakończeniem pracy owych central, czyli że ich klient nie może wykorzystać dnia do końca, ale przerywa sprawę koło 14-ej i biegnie na dworzec. Z tą sprawą łączą się inne, żywo interesujące zagranicznych gości, ale wykraczające poza temat tu poruszony, takie jak brak tragarzy i brak precyzji w pracy hoteli.

Co na to wszystko PKP?

Ma ona dwie odpowiedzi. Pierwsza da się sprowadzić do następującego. Ministerstwo Komunikacji przydziela na poszczególne okręgi p o c i ą g o - k i l o m e t r y i dba o rentowność. Troska o rentowność wyraża się dużym zainteresowaniem odnośnie wykorzystania kursujących pociągów przez pasażerów. Stawia się więc wskazujący palec na odpowiedniej kolumnie i mówi się: „O, proszę, pociąg do Zakopanego — 70 proc. wykorzystania, 90 proc, 60 proc., tu nawet 30 proc.! Jak pan widzi, pociąg nie jest wykorzystany w 100 proc, a powinien!" Znane przysłowie o nosie i tabakierce każe przypuszczać, że jeśli na przykład co drugie miejsce jest w pociągu zajęte (50 proc. wykorzystania), to tych kilkaset osób ma jakieś sprawy, które winny być załatwione. We wspomnianych wykazach nie ma liczby większej niż 100 proc. A każdy z nas jeździł już takim pociągiem wykorzystanym w 160 proc.

Druga odpowiedź, jaką daje PKP na poruszone tu sprawy brzmi: bardzo blisko Łodzi są Koluszki. Tam przyjeżdża mnóstwo pociągów we wszystkich kierunkach.

Oto moja replika. Również dość blisko Łodzi leży Warszawa, dysponująca jeszcze lepszymi połączeniami. Ale to jest Warszawa, czy Koluszki, a nam chodzi o Łódź, miasto 700-tysięczne, oddychające w znacznej swojej części pyłem bawełnianym i pyłem z kominów. Poza tym owe pociągi „przelatujące" w pobliżu Łodzi, mają tę właściwość, że się do nich często nie można dostać i pasażerowie — częste to wypadki — zwracają „Orbisowi" kupione wcześniej bilety, bo brakło dla nich miejsca w pociągu.

Frontowa ściana Dyrekcji III Okręgu PKP w Warszawie upstrzona jest cała drobnymi dziurkami w tynku. To nie są kule z czasów wojny. To ślady po grochu rzucanym o tę ścianę przez zainteresowanych pasażerów z terenu Łodzi...

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

KONSUL

Nagrodzona pierwszą nagrodą na IV Konkursie Teatru Ateneum sztuka „KONSUL" ma za temat zagadnienie destrukcyjnego wpływu kliki na stosunki społeczne i oparta jest na prawdziwym wydarzeniu, jakie przeżyli pracownicy pewnej instytucji w jednym z miast prowincjonalnych. Na zebraniu roboczym urzędnik zatrudniony na tzw. okres próbny oświadczył, że jest funkcjonariuszem policji śledczej i że pracował przez okres trzech miesięcy tylko po to, żeby wykryć nadużycia i zdemaskować klikę. Oczywiście, konsternacja i zaskoczenie. Rzekomy funkcjonariusz wyprowadza dyrektora i w przekonaniu urzędników zabiera go do aresztu. Na ulicy jednak okazuje się, że bohater jest człowiekiem chorym umysłowo, prowadzi „zaaresztowanego" dyrektora po ulicach miasta i nie wie, co ze swym „aresztantem" zrobić. Tymczasem przerażeni klikowcy i defraudanci demaskują się i ponoszą karę.

Drukujemy zakończenie aktu pierwszego.

CEREGRA: Panie Majak, udzielam panu jeszcze dziesięciu minut na sformułowanie wniosku i uzasadnienie pańskich wywodów. Po dziesięciu minutach odbiorę panu głos.

MAJAK: Nie szkodzi. Na razie muszę tylko stwierdzić, że jestem rozczarowany. Mój zapał wygasa. Spodziewałem się innego przyjęcia. Tymczasem — nie słyszałem ani jednego oklasku, ani jednej pochwały, ani jednego słowa zachęty. Artysta, moi państwo, nie może tworzyć bez atmosfery podziwu, bez wyrazów uznania.

(zrywają się krótkie oklaski)

MAJAK: Dziękuję. Wystarczy. Przesada jest równie niebezpieczna jak wstrzemięźliwość. „Nie ufaj swym wielbicielom", powiedział starożytny Rzymianin. (Zwraca się z pytaniem do wszystkich) Kto tak powiedział? Juliusz Cezar? Cyceron? Pliniusz Starszy, który zginął w czasie wybuchu Wezuwiusza? tak jak wy, panie i panowie, giniecie w duszącej atmosferze strachu i niepewności jutra.

CEREGRA (pokazuje na zegarek): Jeszcze tylko pięć minut.

MAJAK: Nie szkodzi.

SAPIŃSKI: Daj mu mówić. Niech mówi. Niech powie wszystko do końca! Może zwariuje od tego gadania?

CEREGRA: Już zwariował. (do Miecia): Pisz pan! Zapisuj pan każde słowo! Niczego pan nie opuszczaj.

MIECIO: Nawet nieprzyzwoite?

CEREGRA: Nieprzyzwoite — jak najbardziej! Każde słowo ma znaczenie.

SAPIŃSKI: (do Majaka): No, no, wal pan dalej!

MAJAK (do Sapińskiego): Jakże mi pana żal! (do pięciu osób za stołem): Jakże mi żal państwa! Dzisiejsi poeci biadają, że człowiek współczesny nie upada pionowo, tylko — poziomo. To nieprawda.

MILDE (do Ceregry): Słusznie. On ma rację.

CEREGRA (ze złością): Już ty się lepiej nie odzywaj!

MAJAK: To nieprawda! Wasz upadek jest dowodem, że istnieje dno, z którego nie ma podniesienia.

CEREGRA (pokazuje na zegarek): Trzy minuty.

MAJAK: Gdy na was patrzę, przypominają się dzikie zwierzęta, które w obawie, że zostaną pożarte, starają się ze strachu pożreć innych, tych, co z przerażenia zaniemówili i boją się ruszyć palcem.

RAPALSKI: To nas obraża. Odebrać mu głos!

RUMPEL: Nie. Dlaczego? Niech mówi!

DUNINÓWNA (histerycznie): Pozwolić mu się wypowiedzieć!

KOWALSKA (grozi pięścią): Jak równość to równość!

RAPALSKI: Mnie to obraża.

CEREGRA: Cierpliwości, kolego Rapalski!

SAPIŃSKI: On się sam wykończy!

CEREGRA (do Miecia): Pisz pan! Pisz pan wszystko!

MIECIO: Piszę. Piszę.

MAJAK: Ktoś powiedział, że czuje się obrażony.

DUNINÓWNA: Niech pan na to nie zważa!

MAJAK: Jednak przepraszam, panie i panowie! Nie miałem zamiaru. Chciałem tylko powiedzieć, a raczej, zapytać. (nagle, do Smolenia): Jaka substancja jest nieprzerwanym źródłem energii?

SMOLEŃ: Substancja promieniotwórcza.

MAJAK: Źle, panie Smoleń. Nieprzerwanym źródłem energii jest człowiek. CZŁOWIEK, panie i panowie! A więc, wy, panie i panowie, zdradziliście samych siebie (kaznodziejskim tonem): Bowiem wy, panie i panowie, mieliście przed sobą alternatywę: albo protestować i mówić głośno o tym co się dzieje w „Undiquie"...

JASIO: Odebrać mu głos!

SAPIŃSKI: Cicho, panie Jasiu! Niech mówi! Odpowie za wszystko.

MAJAK: ...albo milczeć. Niestety, wy, panie i panowie wybraliście milczenie. I oto, pozostaliście w tej waszej „Undiguie": (rozgląda się po garażu) Miły Boże, czego tutaj nie ma?! Co za pomieszanie pojęć! przepraszam, chciałem powiedzieć — rzeczy! Motocykle, sedesy klozetowe, pralki, lodówki, magnetofony, telewizory, radioodbiorniki z jednej strony, a szmelc — z drugiej. Najnowsze zdobycze techniki po jednej stronie, a złom, graciarnia, stare żelastwo — po drugiej. Nowość i starzyzna, technika i złom, czego chcieć więcej, cała tutaj Polska, jak szeroka i długa.

CEREGRA: Muszę kolegom wyjaśnić, że już od dawna staramy się o lokal, w którym moglibyśmy umieścić oddzielnie złom i odpady, niestety, władze kwaterunkowe nie wykazują zrozumienia dla naszych potrzeb.

MAJAK: Nie szkodzi. Wystarczy rozejrzeć się uważnie tutaj dokoła nas, żeby w otaczającym nas mikrokosmosie zobaczyć makrokosmos. Polskę w kropli wody. Więcej tutaj jeszcze szmelcu niż nowości, tak jak w naszych głowach za dużo starzyzny, która pleśnieje i rdzewieje, jak ta tutaj, po kątach, a za mało nowości, które wy (pokazuje na pięć osób za stołem), właśnie, wy rozdrapujecie jak kruki. Gdybyście mogli, rozdrapalibyście całą „Undiquę"!
(Wielka wrzawa, z której wybijają się poszczególne głosy).

KOWALSKA: Brawo! Brawo!

PANI HANKA: On nas obraża.

DUNINÓWNA: Świetnie! Tylko dalej tak! Śmiało!

JASIO: To skandal!

WITKOWSKA: A to im dopiekł!

SAPIŃSKI: Jak go trzasnę, to mu wszystkie zęby polecą!

RUMPEL: Odważny gość! Coraz bardziej mi się podoba.

RAPALSKI: Ja na miejscu przewodniczącego nie pozwoliłbym na coś takiego.

DUNINÓWNA: Mało! Mało!

RUMPEL (do Smolenia): Co ty na to?

SMOLEŃ: Porywający mówca.

CEREGRA: Proszę kolegów o ciszę!

MAJAK: Wspaniałe! Dramatyczne! Scena pełna ekspresji! Kiedyś pisałem dramaty. Niestety, dyrektorzy teatrów zwracali mi moje maszynopisy z obelżywymi adnotacjami. Czuli się obrażeni, ponieważ moja wizja sceniczna przewyższała ich możliwości realizacyjne. O tej scenie powiedzieliby to samo. To obraz o niezwykłej sile dramatycznej: Ja, wy i „Undiqua". Ja trzymam ludzi w napięciu mocą mojego krasomówstwa, podczas gdy wy — terroryzujecie ich brutalnie w obawie, że nas zdemaskują.

SAPIŃSKI (do Miecia): Pisz pan! Protokołować wszystko, co ten małpiszon wygaduje! Każde słowo!

CEREGRA: Nie protokołować! (do Majaka): Dowody!

MAJAK: Dowody?... Miesiąc temu przyszedłem do pana dyrektora Mildego i mówię: „Panie dyrektorze, blachę kradną z magazynu". Spojrzał na mnie jak na zbója. „Dajcie złodzieja", powiada. „Złapał go pan za rękę?" (sarkastycznie): „Dajcie złodzieja", dobrze powiedziane, co? Toż musiałbym jego właśnie złapać za rękę.

(Wrzawa)

JASIO: Obraził dyrektora! Odebrać mu głos! Odbierz mu głos!

SAPIŃSKI: Łobuz! Obraża ludzi! Odbierz mu głos!

CEREGRA: Minęło dziesięć minut. Odbieram panu głos.

MAJAK: Pan? Pan mnie chce odebrać głos? Cha, cha, cha! (śmieje się długo).

KOWALSKA: Dlaczego on się tak śmieje? Czy to normalne?

DUNINÓWNA: Świetny mówca. Szkoda tylko, że stroi sobie żarty.

KOWALSKA: Zaczął tak obiecująco, a potem wszystko popsuł.

MAJAK: Pan chce mnie odebrać głos? To ja będę tym, który pana pozbawi głosu.

SAPIŃSKI: Dosyć tego! Nie robić tutaj kina.

MAJAK (pokazuje na Sapińskiego): I pana!

JASIO: Wyrzucić go!

MAJAK (pokazuje na Jasia): I pana!

PANI HANKA: Zawołajcie woźnego!

MAJAK (pokazuje na Panią Hankę): I panią!

SAPIŃSKI: Sami sobie z nim poradzimy! Panie Jasiu, dalej! Trzy, cztery!

MAJAK: Ani kroku dalej! (wyjmuje legitymację, którą unosi w górę)!
Ta-k, panie i panowie, z Urzędu Śledczego jestem,
Fakt.

(Osłupienie. Wszyscy milczą).

PANI HANKA: Zgrozo świata!

MAJAK: Zadajecie sobie zapewne w duchu pytanie, jak do tego doszło? Od dłuższego czasu krążyły w mieście pogłoski o nadużyciach w „Undiquie". Postanowiliśmy zdobyć dowody. W „Undiquie" wakował etat. Zostałem oddelegowany jako poszukujący pracy, rzecz jasna, po to, żeby zdobyć dowody. Po miesiącu wiedziałem to, co wiedzą wszyscy, ale o czym boją się mówić głośno. Że dyrektor trzyma sztamę z magazynierem. Że chodzą „na kielicha" do Savoyu. Że magazyniera Sapińskiego nazywają trzecim dyrektorem. Że wicedyrektor Ceregra puszcza forsę w lokalach z panią Hanką, która jednego wieczora tuli się miłośnie w tańcu do Ceregry, żeby na drugi wieczór przejść w ramiona pana Jasia. Że z magazynów wywożą towar na lewo za wiedzą dyrekcji. (do Miecia): Pisz pan! Protokółuj pan wszystko. Zapisz pan, że nikt nie protestował.

JASIO: To nieprawda! Ja protestuję!

CEREGRA: I ja! To wszystko kalumnie.

SAPIŃSKI: Kłamstwa i oszczerstwa wyssane z palca!

MAJAK: Jak ten dzban! (unosi dzban i stawia z powrotem z hukiem na stole). Biedny człowiek przyniósł wczoraj do magazynu metal na złom. Nie znał jego istotnej wartości.

SAPIŃSKI: Zarazo (chwyta dzban, unosi w górę zamierzając się, aby cisnąć w Majaka).

MAJAK (wyjmuje rewolwer i mierzy w Sapińskiego): Spokój!

SAPIŃSKI (opuszcza dzban na stół).

MAJAK: Cisza. Cisza jak w kościele. Wyjątkowa to chwila. Patetyczna i wzniosła. Panie i panowie, rozbiliśmy klikę. Po raz pierwszy przeżywałem podobnie wzniosłą chwilę przed laty będąc konsulem w Marsylii. Palmy, błękit morza, Lazurowe Wybrzeże, Méditerranée, słowa Maupassanta wyryte na głazie pamiątkowym w uroczym zakątku nadmorskim: „Je n'ai vu rien plus merveilleux que le Cap d'Antibes au couchant du soleil". I ja nie widziałem nic piękniejszego nad widok z przylądka Antibes o zachodzie słońca. Na kolorowych pocztówkach barwy mają kolor landrynek, ale w naturze wygląda to piękniej niż ogrody Semiramidy, wierzajcie mi państwo, ósmy cud świata! Powiecie zapewne panie i panowie, że piękność świata nie może być oparciem dla człowieka? Zapytacie zapewne, panie i panowie, jaki to ma związek z chwilą obecną, z naszym ziemskim globem, z historią, z ludzkością, z energią nuklearną? Jutro. Powiem to państwu jutro. Tymczasem... (gubi wątek). Zaraz. Chwileczkę. O czym to ja? Aha, naturalnie! Zawsze marzyłem o tym, żeby dokonać w życiu czegoś wielkiego. Uszczęśliwić ludzkość uwalniając ją od lęku o wojnie. Pomóc biednym ludziom w nieszczęściu. Zasłużyć się jakimś wielkim odkryciem naukowym dla dobra i postępu świata. Zaprowadzić sprawiedliwość. Rozbić klikę. (znów gubi wątek). Ale o czym to ja? Aha, sądziłem mylnie, że tylko mój tata który nie pozwalał mi być tym, kim pragnąłem, kogo wymarzyłem sobie w młodzieńczych snach, sądziłem więc, że tylko mój tata był szalonym tyranem. Nie, panie i panowie! Świat okazał się stokroć bardziej szalony i tyrański! Świat okazał się areną brutalnej walki i okrucieństwa, sceną tryumfujących błaznów i wyklętych filozofów, żerowiskiem rekinów, sabatem czarownic, rują chuliwych małp, ringiem szaleńców, domem obłąkanych, symfonią pełną nieznośnych dysonansów i okropnego zgiełku instrumentów. (Z lewej strony wybucha piekielny warkot, szum i świst. Majak wznosi ręce w niemej rozpaczy jakby wołał o pomstę do nieba. Hałas po małej chwili ucicha).

MAJAK: W takim świecie jedyną szansą wrażliwej osamotnionej jednostki jest zamknąć się w sobie i stworzyć inny, własny, lepszy, piękniejszy świat. Tak też i ja postanowiłem uczynić. W ten sposób zostałem konsulem. O, jeżeli państwo sądzicie, że działałem pod wpływem kompleksu niższości, powstałego we mnie z powodu tyranii mojego taty, i że sprężyną mej d[z]ałalności jest wola mocy jako rekompen[s]ata za cięgi, które brałem od życia, to p[o]mylicie! (Chwila). A zresztą, może? [J]ę będę się dłużej zatrzymywał nad tym r[o]działem mojej biografii, powiem tylko, (gubi wątek) postanowiłem szukać, tak s[z]kać. Czego szukać? (podchodzi jak luna[t]o do Sapińskiego): Magazynier Sapiński! [D]urodzenia Kartezjusza? Prędzej! Prędz[e] (wyjmuje rewolwer).

SAPIŃSKI: Kartez... Kart...?

MILDE (odpowiada): Szesnasty wiek. [T]siąc pięćset z czymś.

MAJAK: Źle! 1596. (podchodzi do Jas[i]a): Pan Jasio. Kim była Desdemona?

JASIO: Desdemo... Desdem...?

MAJAK: Ignorant. Desdemona była ż[o]Otella, skromna, czuła, cnotliwa, a [n]słusznie podejrzana o herezję, spalona [w] 1431 roku na stosie w Rouen. (podcho[d]do Smolenia): Pan Smoleń! Na czym [p]lega zasada transformacji Galileusza?

SMOLEŃ: Załóżmy, że chcemy obliczyć prędkość człowieka spacerującego na pok[a]dzie okrętu. Jeżeli szybkość posuwania [s]statku wynosi 10 kilometrów na godzi[n]oraz jeżeli człowiek spaceruje z prędkoś[c]3 kilometrów w tym samym kierunku, [j]jakim płynie okręt, to jego prędkość wy[n]si 13 kilometrów na godzinę. W przykładz[i] tym transformacja Galileusza stanowi [p]ste dodanie obydwu prędkości, człowie[k] w stosunku do okrętu, oraz prędkości t[e] układu, okrętu, w stosunku do innego [u]kładu odniesienia, a mianowicie, brze[g] W rezultacie człowiek posiada różną p[r]dkość ze względu na słońce i gwiaz[d]stałe.

MAJAK: Świetnie! Doskonale! Przypo[m]niałem sobie! Dyrektor Milde! (celuje w M[i]dego): Dyrektor Milde, wstać!

(Milde wstaje)

MAJAK (do Smolenia): Mój przyjac[i]Henryk Elzenberg powiada, żeby nie pr[z]klinać świata za to, że był nam areną kl[ę] i zawodów. Można przegrać bitwę nad [P]toka Neapolitańską, która nie będzie pr[z]to mniej piękna. Ale ja się z tym nie z[g]dzam. A pan?

SMOLEŃ: Ja również — nie. Trzeba pr[z]klinać świat za wszystko zło, którym [n]chce unicestwić.

MAJAK: Doskonale! A więc, dyrekt[o] Milde, wstać!

RUMPEL: Już stoi.

MAJAK (tonem wojskowej komendy): M[a]gazynier Sapiński, wręczyć panu Miecio[w]klucze od magazynu!

SAPIŃSKI: Nie mogę oddawać kluc[z]Prawo zabrania.

MAJAK: Ani słowa! Kto był współcz[e]nie twórcą filozofii pesymistycznej?

SAPIŃSKI (ze złością, prędko): Nie wie[m] (wręcza klucze)

MAJAK: Ignorant. Twórcą filozofii pe[s]mistycznej był Schoppenhauer. Tak! (ton[e] wojskowej komendy): Dyrektor Milde, wy[j]i czekać przed drzwiami magazynu!

(Milde wychodzi)

MAJAK (j. w.): Miecio za mną! Dr[z]zamknąć na klucz! A wy, panie i panow[i]czekać! Tak, czekać na mój powrót! Adi[e] Adieu! Sługa uniżony (Majak wych[o]z Mieciem. Drzwi zamykają się, słych[a]chrobot przekręcanego klucza. Wszyscy s[i]dzą w milczeniu jak urzeczeni, wpatrz[e] z jakąś fascynacją w zamknięte drzwi).

Zasłona

Nad czym pracują pisarze

WANDA KARCZEWSKA

Ostatnia moja powieść, „WIZERUNEK OTWARTY" ukazała się nakładem Wydawnictwa Czytelnik na przełomie 1962/63 r. W zimie bież. roku, oddałam temuż wydawnictwu nieduż[ą] powieść „LATO W RIVERSIDE", która powinna się ukazać jesienią. W lutym — złożyłam spory tom opowiadań „PARTIA GOLFA". Obie te prozy, „Lato" i „Partia golfa" powstały z obserwacji, poczynionych w czasie mojego półrocznego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Akcja dzieje się tu i tam, w czasie przeszłym i teraźniejszym.

W marcu podpisałam z Czytelnikiem umowę na tom prozy „GĄSIOR STAREGO MIODU". W tomie tym pomieści się jeszcze jedno opowiadanie o tematyce polsko-amerykańskiej „KAPELUSZ Z PAPUZICH PIÓREK". Pisanie potrwa rok lub dłużej.

O problematyce książek i interesujących mnie zagadnieniach warsztatowych — nie piszę, nie lubię wszelkich deklaracji i zwierzeń. Wszelką problematykę winien sobie czytelnik wydedukować z książek, jeżeli nie jest ona uchwytna — tym gorzej dla pisarza, jeżeli jest — a czytelnik lub krytyk nie potrafi jej wyłuskać — tym gorzej dla czytelnika (krytyka).

Po każdym występie autorskim mam chwilę szczerego wahania, czy nie powinnam wrócić do służby muzie liryki, po pewnym jednak czasie natłok tematów możliwych do wyrażenia w prozie przepłasza kroki Euterpe. Może więc ograniczę się na razie do wydania NOWEGO WYBORU WIERSZY, ale kto wie...

O zamierzeniach na przyszłość wolałabym na razie nie mówić — planuje się jedno, robi się drugie. Nigdy nie wiadomo, jak się okoliczności ułożą.

ROMAN ŁOBODA

Dzielny wojak Szwejk w Teatrze 7[15]

Każdy naród może mieć swego Sienkiewicza; ubogi to naród, który go nie ma.

Pisarz czytywany wielokrotnie i wchodzący „pod strzechy" to nie ten, który wzniósł się na najwyższy poziom maestrii artystycznej, nie ten co odkrywa nowe światy doznań i wyobrażeń, lecz pisarz, który wyczuł puls swego narodu, jego historyczny temperament, jego historyczną determinację i historyczne tęsknoty.

W ten sposób Jaroslav Hasek swoimi „Przygodami dzielnego Szwejka" spełnił co najmniej dwa z powyższych warunków, utrafił w to, co szczelnie przystaje do ówczesnej sytuacji Czecha w monarchii Habsburgów, konglomeratu narodów bez politycznej, ekonomicznej czy moralnej idei wiążącej tak różne obszary kulturalne i językowe Europy.

Bzdura oczywiście musiała na czymś stać, „stała" na biurokracji. Do napisania Szwejka więcej trzeba było niezamąconego i zdrowego rozsądku, niż przenikliwości czy historiozoficznej analizy. W ogromne obszary bzdury naddunajskiej nietrudno było trafić, jeżeli proces asymilacji absurdu jeszcze za daleko nie zaszedł.

Hašek był po prostu wyrazicielem nastrojów i postaw ogromnej większości swoich współziomków; był głosem zdrowego instynktu samozachowawczego ludu, który tak długo był odzierany z własnej historii.

Hašek zaleca wypróbowaną taktykę uniku militarnego i politycznego; ogłasza mądrość ludową. Odrzucenie lub przyjęcie pewnych postaw jest kwestią nie tylko temperamentu, jest kwestią historycznej mądrości — mówi Hašek. Stąd też uczuciowo niewątpliwie bliższy nam Sienkiewicz, niż autor Szwejka. Ale „Przygody dzielnego wojaka" zawierają również ten rodzaj chłopskiej mądrości i rubasznego humoru, który jest nośny, przyswajalny i ma urok filozofii na co dzień.

Jeżeli sam Hašek pisze o Szwejku jak o bezimiennym bohaterze, to ma o tyle rację, o ile bierny opór i destruktywne drążenie kpiną jest niebezpieczną dla przeciwnika bronią, od której niekiedy i władający nią ginie. Dydaktyka wstępu do książki Haška stanowi garść wskazań przywódcy (duchowego) i można mu wybaczyć filozofię bierności w odniesieniu do okresu operetki historycznej.

Wydaje się, że Władysław Orłowski w adaptacji scenicznej książki Haška raczej nie pominął tych oczywistych założeń szwejkowskich. Ale wydaje się również, że gdzieś między maszynopisem a sceną wywietrzał cały specyficzny aromat i smak „przygód".

„Przygody dzielnego wojaka Szwejka"
Kafy — Iwona Słoczyńska Szwejk — Stanisław Olczyk

Szwejk był adaptowany, grany i filmowany. Nikła dramaturgia perypetii „dzielnego wojaka" nie jest zbyt wdzięcznym polem popisu dla reżysera i wymaga dużej dyscypliny, umiaru i znakomitej gry aktorskiej. Można by uważać wystawienie „Szwejka" za eksperyment Teatru 7.15, gdyby nie to, że właśnie tę — moim zdaniem trudną scenicznie — adaptację podporządkowano genrowi teatru nastawionego na raczej łatwą rozrywkę.

Teatr dla widza szukającego łatwej rozrywki (nie mylić z powszechnym teatrem, który winien być raczej rozrywkowo-dydaktyczny w najlepszym tego słowa znaczeniu) jest z konieczności teatrem upraszczającym, dającym „przeżuty ubaw", często trącący drobnomieszczańską myszką. Stąd też i środki aktorskie są podporządkowane tej, może nie generalnej, ale panującej konwencji, stąd też nie można mieć pretensji do aktorów. Jedynie Jerzy Ćwiklíński nie wyłamując się z tła stworzył interesującą postać feldkurata Katza, mimo przydługiej końcowej kwestii — pijanego.

Szwejk (w interpretacji Stanisława Olczyka) był nakierowany, zgodnie z całością spektaklu, na uproszczenia; odjęto mu podtekst konsekwentnej, chłopskiej filozofii nie pomogły finałowe deklaracje „jednorocznego ochotnika" (Zbigniew Płoszaj) i „dobrego wojaka"; że: my świadomie, patriotycznie przeciw wojnie bohatersko, z głupia-frant. Właśnie brakło tego — frant.

Szwejk śmiał się ze swoich kawałów przedwcześnie; jeszcze nim skutki psychologiczne i faktyczne tych kawałów stawały się (widoczne).

Niekiedy wprowadzana w spektakl prawie cyrkowa groteskowość gestu łamała i tak mocno już nadwerężoną jedność stylu.

A propos stylu i nauki stąd płynącej: strojeł Ublór Kafy (Iwona Słoczyńska) nie odbierał artystce wprawdzie urody, ale odebrał urodę prawdzie. O ile pomnę, to moja babcia i inne babki nie nosiły wówczas wyjściowej sukni z ramiączkami. To o ubieraniu. A rozbieranie? Jedynie chyba gwoli dodania scenie pieprzyka rozebrano Kafy do stroju bez mała bikini, co nie jest na ogół niemile widziane w drugiej połowie XX w. Jeden z moich przemiłych rozmówców, który służył w armii Franciszka Józefa, ma pewne zastrzeżenia do koloru mundurów demonstrowanych w Szwejku. Może wzrok mu się psuje?

Scenografia. Mała i płytka scena niewątpliwie nie sprzyja głębi i rozmachowi. Scenograf uległ panującemu ograniczeniu przestrzeni.

Teatr 7.15. Jaroslav Hašek: „Przygody dzielnego wojaka Szwejka" w adaptacji Władysława Orłowskiego. Inscenizacja i reżyseria: Jerzy i Stefania Waldenowie. Scenografia Marian Stańczak.

EWA SIEMIŃSKA

Filmowa teoria BOLESŁAWA LEWICKIEGO

Od kilku miesięcy na półkach księgarskich znajduje się książka o skromnym tytule „Wprowadzenie do wiedzy o filmie". Nie rzuca się w oczy: jest niezbyt gruba, niewielkiego formatu, w prostej, pozbawionej efektowności okładce. Ale na tę skromnie wydaną pozycję polska myśl filmowa czekała aż czterdzieści lat!

Bo wbrew tytułowi książka ta nie ogranicza się do roli przewodnika po najważniejszych problemach wiedzy o filmie, do prezentacji ogólnie już przyjętych poglądów filmoznawczych. Oprócz syntetycznego spojrzenia na naukę o filmie, ogarniającego całość ważniejszych w skali światowej osiągnięć z tej dziedziny, książka ta prezentuje także własną, opartą o naukowe metody badawcze i układającą się w system filmową teorię autora.

W przeszłości jedynie Karol Irzykowski zdobył się w Polsce na tak poważną, posiadającą naukowe podstawy teorię filmową. Bolesław Lewicki — autor „Wprowadzenia do wiedzy o filmie" ma więc znakomitego nazwiskiem i ranga poprzednika. Ale te dwie teorie: Irzykowskiego i Lewickiego dzieli w filmie więcej niż epoka. „Dziesiąta Muza" wydana była przecież w roku 1924! Irzykowski miał prawo napisać o sobie: „mogę nie czerpać ze źródeł, bo sam jestem źródłem".

Dziś, po czterdziestu latach młody, niezorientowany adept filmoznawstwa może utonąć w zalewie publikacji o filmie. Co w tej powodzi jest istotne i wartościowe? Którym nazwiskom, którym pozycjom przysługuje zaszczytne miano „źródeł"? Co jest tylko zwykłym naśladownictwem? Gdzie przebiega granica między krytyką, a nauką o filmie? Jak należy badać film, aby wyniki posiadały walor naukowości? Co to jest film i jaka rządzi się estetyką? Jak odczytywać i oceniać dzieło filmowe? — **Na te wszystkie pytania znajdziemy odpowiedź we „Wprowadzeniu do wiedzy o filmie". Już samo to wystarczyłoby do uznania dzieła Lewickiego za niezwykle cenną pozycję.**

Żyjemy w czasach, kiedy dobrodziejstwem, ale zarazem i przekleństwem nauki we wszystkich dziedzinach jest daleko posunięta specjalizacja. Stwarza to szanse niezmiernie precyzyjnego opracowania szczegółowych zagadnień i powoduje równocześnie istny zalew rynku wydawniczego publikacjami dotyczącymi niewielkich, bardzo specjalistycznych wycinków danej wiedzy. Ten stan rzeczy znacznie lepiej znoszą nauki ścisłe. Ale w humanistyce brak ogólnego spojrzenia, ogarniającego całość ważniejszych zagadnień danej wiedzy czy nauki o sztuce, byłby grzechem kardynalnym. I jeśli ktoś interesuje się jedną dyscypliną, musi mieć świadomość jej powiązań z innymi dyscyplinami humanistycznymi. Przykładowo: filmoznawca musi orientować się w najważniejszych problemach teoretycznych i historycznych innych sztuk, znać się — przynajmniej ogólnie — na psychologii i socjologii. Musi mieć ponadto świadomość uwarunkowania filmu jako zjawiska artystycznego sprawami jak najdalszymi sztuce: ekonomicznymi, fizyko-technicznymi, chemicznymi czy fizjologicznymi. Tylko przy takim ogarniającym nastawieniu może nastąpić w humanistyce integracja badań w poszczególnych dziedzinach, o którą co pewien czas odzywają się w prasie gromkie wołania, a której dokonanie napotyka w praktyce na niesłychane trudności.

Tym większe uznanie należy się więc Lewickiemu, którego „Wprowadzenie do wiedzy o filmie" **wpisuje film w ramy kultury XX wieku, ukazuje w powiązaniu z innymi sztukami i przedstawia w uwarunkowaniach, o których była mowa powyżej.** Autor wykazał się tu wiedzą niezmiernie obszerną, wywodzącą się z dużego oczytania w polskiej i obcej literaturze przedmiotu. I właśnie rozległość horyzontów jego dzieła przy jednocześnie rzeczowym i przejrzystym usystematyzowaniu materiału jest dla czytelnika szczególnym dobrodziejstwem. Ukazuje mu bogactwo problematyki, nie pozwalając równocześnie zgubić się w jej labiryncie. Bardzo cennym dodatkiem do książki jest zamieszczona na końcu bibliografia, ułożona według zagadnień. **Informuje ona doskonale, co i z jakiego zakresu należy czytać, aby zdobyć orientację w teorii filmu i dziedzinach towarzyszących.**

W tym miejscu należy chyba wysunąć jedno zastrzeżenie. „Wprowadzenie do wiedzy o filmie" wymaga lektury bardzo uważnej i powolnej, bowiem skondensowanie treści jest w niej wyjątkowo duże. To właśnie pozwoliło w dziele o niewielkich rozmiarach zawrzeć omówienie tak wielkiej ilości problemów. I dlatego jest to lektura trochę trudna, może nawet miejscami ciężka. Wydaje mi się ponadto, że zabrakło jej chwilami konkretnych, wziętych z filmów przykładów, które lepiej pozwoliłyby zrozumieć pewne problemy teoretyczne. Odnosi się to zwłaszcza do dwóch rozdziałów: „Specyfika zjawiskowa i estetyczna filmu" i „Odczytywanie i ocena dzieła filmowego". Właśnie dlatego, że celem tego dzieła jest wprowadzanie zainteresowanych do wiedzy o filmie, przekazywanie im nowych, nieznanych częściowo lub całkowicie wiadomości, przydałyby się tutaj konkretne przykłady. Lektura straciłaby wtedy co prawda swoją kondensację, ale zyskałaby na poglądowości i łatwiejsza byłaby w samym czytaniu.

Niesłychanie łatwo można wyłowić w tekście, które sformułowania Lewickiego przekazują jego własną, oryginalną teorię, a które przytaczają cudze poglądy. Autor zaznacza bowiem z naukową sumiennością, kiedy referuje cudze zapatrywania i z jakich źródeł korzysta. Sam pisze w „Uwagach wstępnych" o własnej teorii, „Stanowisko autorskie tej książki znajdzie swoje odbicie przede wszystkim w próbie teorii specyfiki formalnej filmu, a także w próbie semantycznej oraz informacyjnej interpretacji dzieła filmowego". Co dodać do tego samookreślenia?

Oryginalna, jak najbardziej autorska jest w książce opracowana już dawniej gramatyka języka filmowego, czy formuła estetyczna filmu lub prawa obiektywne sztuki filmowej. Teorię filmową Lewickiego nazywa się ogólnie przyliteracką ze względu na pokrewieństwa metodologiczne i merytoryczne z teorią literatury oraz przyznawane filmowi miejsce wśród innych sztuk. Teoria ta ma swoich przeciwników. Ale

Rys. S. Gratkowski

nawet jeśli się jej nie przyjmuje, nie można się z nią nie liczyć. **„Atmosfera polemiki i starcia poglądów wydaje się być w nauce najwłaściwszym klimatem podejmowania badań"** — pisze Lewicki. Z takiej atmosfery wyrosło jego dzieło. Ton polemiki ożywia je, dodaje mu rumieńców.

Książka ta celowo nie stawia kropki nad i w omawianiu spraw filmowych. Oddajmy głos Lewickiemu: **„Były już w literaturze filmowej księgi odkryć, pewników i przepisów. To jest książka pytań, wątpliwości i propozycji badawczych".**

POŁKA z książkami

NARODZINY TALENTU

Henryk Czarnecki wydał swoją pierwszą książkę *), Kto to jest Henryk Czarnecki? Polonista, wykładający w jednym z liceów dla dorosłych, łodzianin. „Listy do Pana Popielniczki" wydano w czytelnikowskiej „Bibliotece Satyry". Szkoda, że nie ogłosiło ich Wydawnictwo Łódzkie. Mamy tu bowiem do czynienia z niewątpliwym talentem liryczno-satyrycznym. Książeczka składa się z trzech części: „Listów do Pana Popielniczki", „Miniatur" oraz „Miniatur jesiennych". Zwłaszcza miniatury zasługują na uwagę. Są one doskonale spointowane, nieraz wzruszające, nieraz zabawne, a zawsze zwięzłe, zaskakujące paradoksami, dobrze napisane. Oto dwie próbki. Miniatura pt. „Współcześni":

„W pogoni za pełnią życia wpadł pod auto. Natychmiast zbiegł się tłum ludzi. Z ciekawością oglądali nowy typ karoserii".

Druga miniatura pt. „Maj":

„W połowie maja spadł śnieg. Nie to mnie jednak dziwi, że spadł w maju, tylko dlaczego jest maj, skoro pada śnieg?".

Tomik ilustrował Zbigniew Lengren, który dowcipnymi i subtelnymi rysunkami wzbogacił pierwszą książeczkę satyr i miniatur Henryka Czarneckiego. Przypomnijmy, że w tej samej czytelnikowskiej serii ukazały się niedawno „Portret z sera" Zygmunta Fijasa, „Cyrk pcheł" Janusza Ośęki i „Uśmiechy" Tadeusza Różewicza. Niezłe towarzystwo.

J. K.

*) **Henryk Czarnecki: „Listy do Pana Popielniczki", Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik", Warszawa, 1964.**

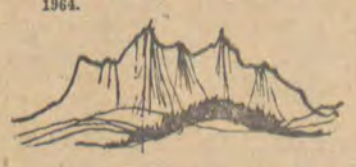

„POSTOJE PAMIĘCI"

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami fali debiutów prozatorskich ludzi, którzy wcześniej debiutowali jako poeci. Dla wielu z nich poezja stanowiła laboratorium literackie, w którym kształtowały się i dojrzewały właśnie formy większe — proza powieściowa. Niekiedy, a tak jest w przypadku Urszuli Kozioł, nie jest to jednoznaczne z odejściem od poezji.

Większość tych ludzi, to pokolenie, które przekroczyło już trzydziesty rok życia. Pamięć ich sięga po czasy przed drugą wojną światową. Wojna przyniosła im przedwczesną dojrzałość życiową, tym dzieciom wówczas jeszcze, ale rozumiejącym ponad wiek. Wreszcie czas po wojnie, był już czasem ich pełnego zaangażowania życiowego, był czasem ich walki o pełną dojrzałość życiową, jako samodzielnych ludzi, o postawę ideową, o udział w kształtowaniu losu narodu.

Biografie ludzi po trzydziestce są skomplikowane. Ci zaczepiający pamięcią o przeszłość, poddani ciśnieniu zmieniających się warunków ludzie, obciążeni jednocześnie mitologią przeszłości — musieli o wszystko walczyć, przede wszystkim jednak o siebie. Dopiero następne pokolenia miały „wszystko gotowe", miały ułatwioną drogę życiową. Ale te trudne warunki startu, choć wielu załamały, wielu także uodporniły na trudy i przeciwności losu.

To o czym wyżej napisałem — można by odnieść do bohaterki powieści „Postoje pamięci". Nie wiem w jakim stosunku zostają dzieje bohaterki powieści, do losów samej autorki — świetnej poetki, Urszuli Kozioł. Myślę jednak, że bez specjalnej przesady można powiedzieć, iż złożyła ona tutaj duży bagaż doświadczeń biograficznych — pokolenia ludzi „po trzydziestce". Ale nie było to tylko zwykłe zrzucenie ciążącego każdemu młodemu ciężaru — biografii. Powieść bowiem jest ciekawie skonstruowana. Czuć w niej tchnienie dobrej nowoczesnej poezji i jakiś podskórny nurt doświadczeń folklorystycznych autorki z terytoriów nad Sanem. Nie czyni to z książki czegoś ponurego, bo autorka spina wątki cieniutkim humorem, czasem granicącym z groteską. I choć to debiut, można o tej powieści powiedzieć, że dojrzała i znacząca.

JHW

Urszula Kozioł „Postoje pamięci", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1964, str. 340, cena 22 zł.

„ZAŚCIANEK"

Otrzymaliśmy właśnie w tłumaczeniu Kaliny Wojciechowskiej pierwszy tom trylogii Faulknera, której części następne „The Town" (Miasto) oraz „The Mansion" (Pałac) czekają jeszcze na polski przekład. „Zaścianek" ukazuje się u nas w dwadzieścia pięć lat od chwili opublikowania tej powieści po raz pierwszy w wydawnictwie Random House. Ćwierć wieku to w historii literatury zwłaszcza ostatnich lat okres bardzo rozległy, gdyż każdy rok przynosi nowe eksperymenty i nowe techniki pisarskie. W wypadku „Zaścianka" nie czuje się tego upływu czasu, jakby nowe techniki pisarskie w ogóle nie istniały, albo też jakby nasza wiedza o człowieku nie posunęła się naprzód od tamtej pory, gdy późniejszy laureat nagrody Nobla publikował swoje pierwsze powieści i nowele.

Akcja pierwszej części trylogii rozgrywa się, jak w wielu ze znanych u nas książek Faulknera, w hrabstwie Yoknapatawpha, które zostało powołane do istnienia przez pisarza. Dotychczasowy świat patriarchalnych stosunków Południa, gdzie wszystko opiera się na zaufaniu i tradycji, musi ustąpić naporowi nowych wartości, których synonimem jest rodzina Snopesów. Yoknapatawpha przed inwazją Snopesów nie jest bynajmniej krainą idealną. Pierwszym obywatelem tej ziemi był Will Varner, o którym powiada się, że „nigdy żaden człowiek w łagodniejszy sposób nie potrafił wykrwawić mula, albo wypełnić urny fałszywymi głosami". O Flemie Snopesie można powiedzieć, że jest człowiekiem, który w najłagodniejszy sposób wykrwawił samego Willa Varnera. Flem Snopes nie oszczędza biedaków i bogaczy, przyjaciół i krewnych.

Mam nadzieję, że ta wizytówka Flema zachęci was do przeczytania „Zaścianka" i dalszych części Faulknerowskiej trylogii.

K. F.

William Faulkner: „Zaścianek", Wyd. Czytelnik, 1964, str. 596, zł 30.

LECH PIJANOWSKI

OPUS OSIEM i PÓŁ

Gdy w 1963 roku na Festiwalu Filmowym w Moskwie miał być wyświetlony film Federico Felliniego „Osiem i pół", w biurach organizatorów festiwalu aż huczało od próśb, żądań i błagań o dodatkowe bilety na projekcję; szczęśliwych posiadaczy kart wstępu zaczepiano pytaniami, czy nie chcieliby swego biletu odstąpić, już na pół kilometra przed salą projekcyjną; w ogromnej sali kremlowskiego Pałacu Zjazdów zajęte było przynajmniej parę setek miejsc stojących, nie mówiąc o wszystkich siedzących.

Film otrzymał Wielką Nagrodę Festiwalu i równocześnie spotkało go wiele zasadniczych uwag krytycznych.

„Osiem i pół" doczekało się monograficznych opracowań i druku scenariusza w formie książki; z poważnych omówień światowej krytyki, poświęconych temu filmowi, można by zestawić kilkutomowe dzieło.

Sądzę, że „Osiem i pół" jest bardzo rzadkim przykładem filmowego dzieła: utworem jednorazowym. Podobnych doń nie było, sądzę, że nie będzie i... nie trzeba. Aby sytuacja była do końca jasna: film bardzo mi się spodobał, uważam, że to dzieło wręcz wybitne. Nie widzę natomiast powodów, by pisać o nim w tonie podniosłego kazania; tego typu właśnie elementy, na szczęście rzadkie, raziły mnie w samym filmie.

W literaturze konwencją, a właściwie czymś mniejszym, „chwytem", sposobem znanym od dawna jest powieść o powieści, kronika procesu twórczego, nieraz dwupiętrowa (sama powieść i opowieść o jej powstawaniu). Ten atrakcyjny formalnie sposób konstrukcji film rychło podchwycił — powstał niejeden już film o filmie i film w filmie, w różnych manierach i stylach. Natomiast i w literaturze dziełem bardzo rzadkim jest powieść o niemożności napisania powieści, o jałowym trudzie tworzenia — i w filmie utworów takich, do czasu powstania „Osmiu i pół", nie było.

Bohater filmu Felliniego, reżyser filmowy (postać nosząca wiele cech autobiograficznych), przeżywa okres twórczego zwątpienia, wyczerpania, niemożności konkretyzacji tego, co ma zamiar nakręcić. Produkcja jego filmu ma rozpocząć się lada dzień; kompletuje się obsadę aktorską, wybiera plenery, buduje dekoracje, brak tylko... scenariusza. Jesteśmy świadkami drobnych perypetii reżysera, uczestniczymy w jego rozmyślaniach, jego snach, jego marzeniach — to, co realne i to co tylko wyobrażone, pomyślane. Fellini pokazuje na jednakowych prawach. Tak powstaje gęsta mieszanina obrazów, wiodąca w sumie na krańce subiektywizmu, dająca się interpretować na dziesiątki różnych sposobów, wciągająca w tok wielostronnych skojarzeń twórcy, a właściwie dwu twórców: i bohatera filmu, i samego Felliniego.

Subiektywizm w filmie najczęściej, jeśli nie z reguły, przejawiał się dotąd w punkcie widzenia twórcy, ujawniał w kryteriach wyboru elementów, w konwencji artystycznej, w podejściu do tematu — sam jednak tematem, i to w tak skrajnym sensie, jak w „Osiem i pół", nie bywał.

Twórcza rozterka reżysera Guido z filmu Felliniego nie ma — oczywiście — charakteru doraźnego, organizacyjno-technicznego (choć i w takie rozterki życie filmowców obfituje) — ma charakter zasadniczy, wątpliwości moralnej; wycinka, na jaskrawym przykładzie ukazującego wahanie co do sensu świata i życia w ogóle. Brzmi to pretensjonalnie; w filmie nie jest jednak ukazane bezpośrednio, lecz pośrednio, jako wynik i suma rzeczywistej sytuacji bohatera i nakładających się wzajem na

siebie i na tę sytuację rzeczywistą jego marzeń, snów pragnień, wspomnień...

Zadziwiająca jest intensywność i żarliwość filmu; choć w poszczególnych jego momentach można się zgubić i zostać skazanym na niepewność (czy to, co widzimy, jest rzeczywiste, czy też jest fragmentem snu bohatera? A może i jednym i drugim?) W „Ośmiu i pół" nie ma ani jednej pustej chwili i ani jednego kadru, który służyłby tylko ku ozdobie. Pojedyncze sceny, poszczególne wątki mają rzadki w kinie walor spontaniczności; trudno wręcz uwierzyć, że powstały wymyślone w scenariuszu, ściśle opisane w scenopisie, zdjęte, zmontowane — zdają się powstawać w tej chwili, przed oczyma widzów, z wahaniem twórcy, czy dobrze czyni pokazując to, co pokazuje.

Pesymiści mogą łatwo znaleźć w filmie wiele argumentów uzasadniających ich postawę życiową, „Osiem i pół" jest bowiem na pewno jakimś manifestem wątpliwości, smutnym świadectwem ważnych wahań i rozterek współczesnych artystów, którzy daremnie usiłują stworzyć jakąś ogólną, a zarazem prawdziwą wizję świata. Z kolei optymiści mogą wskazać — i będą mieli rację — że samo sformułowanie tak skrajnych poglądów na ekranie oznacza przynajmniej początek przezwyciężania tych poglądów w życiu... Na tę sprawę położył wielki nacisk sam Fellini, gdy na konferencji prasowej w czasie moskiewskiego festiwalu zapytano go, na ile można postać głównego bohatera filmu utożsamiać z twórcą dzieła. Fellini replikował wówczas krótko, że jest już dalej niż jego bohater czego dowodzi fakt, iż potrafił o nim i jego losie opowiedzieć...

Spotkanie z filmem Felliniego jest trudne nie tylko dlatego, że całość utworu można interpretować na różne sposoby; także dlatego, że poszczególne jego sceny są i wieloznaczne i mgliste — przede wszystkim jednak dlatego, że szczerość reżysera nie ma dotychczas równych sobie; poznajemy nerwowego, myślącego, współczesnego artystę w sposób, który on sam swoją indywidualnością nam narzuca. Jest to jedno z najrzadszych doświadczeń w kinie współczesnym; po obejrzeniu „Ośmiu i pół" wiele filmów wydaje się jakichś niepełnych, bladych, nieprawdziwych...

Warto obejrzeć „Osiem i pół" nawet wtedy, gdy rozterki twórcy i bohatera filmu uznamy za nietypowe, a pesymizm co do współczesności za zbyt głęboki i nie całkiem uzasadniony. Jest to bowiem rzadki przykład filmu penetrującego to, co decyduje o wszelkiej sztuce: osobowość artysty.

MARCELLO MASTROIANNI

LESZEK ST. RUDNICKI

Skumbrie w tomacie PSTRĄG

Bardzo urodzajny w jubileusze jest ten rok 1965. Jest ich tyle i to tak rozmaitych, że z wolna sami zaczynamy się w nich gubić. O jednym wszakże nie można zapomnieć. Obchodzą go ludzie młodzi, którzy przed dziesięciu laty postanowili zrobić swój, najprawdziwszy teatr. Zrobili — i teraz chwytają się za włosy wołając z odrobiną żalu i zdumienia — „Ludzie, to myśmy już tacy starzy?".

Kulturalny ruch studencki ma to do siebie, że zainteresowanie teatrem, własne formy, poszukiwania teatru stawia na jednym z pierwszych miejsc. Stąd taka obfitość najróżnorodniejszych przeglądów teatrów studenckich (Łódź XII. 1964 r.), festiwali kulturalnych itp. „Pstrąg" zawsze był w czołówce. Wychodził z tych pojedynków zwycięsko i z nowymi nagrodami. Jego działalność stała się w życiu naszego miasta elementem nowym, wnoszącym świeży powiew do nieco zastałej atmosfery. Mało! Wrosła w miasto. Aniśmy się wszyscy spostrzegli, jak minęło dziesięć pracowitych lat i przyszła pora na zbilansowanie i ocenę dotychczasowej pracy. Ale jak się to wszystko właściwie zaczęło?

Otóż, na początku „Pstrąga" nie było! Była za to grupa studentów filologii polskiej UŁ, która wzorem dawnych pionierów zbudowała „machinę wojenną", nazwała ją „Dyliżansem satyry" i wyruszyła w drogę. Był to rok 1952. Impreza wkrótce połamała koła na nieprzetartych jeszcze szlakach, ale pozostało coś, co umownie można określić jako bakcyl teatru. Przeobraził on się wkrótce w Studencki Teatr Satyryków, który w marcu 1955 r. wystartował w ciasnej i słabo nadającej się do takich celów auli uniwersyteckiej przy ulicy Mariana Buczka 27, programem pt. „Pstrągi".

I tak już zostało. No, może niezupełnie, bo choć została nazwa, „Pstrąg", lokal się zmienił. Zresztą z tym lokalem kłopotów było niemało. Zespół wędrował od auli uniwersyteckiej, przez Dom Kultury ZPB im. Marchlewskiego do Łaźni Miejskiej przy ulicy Zachodniej 56, gdzie koegzystował wespół z Polskim Związkiem Wędkarskim. Dało to sporo materiału do najrozmaitszych dowcipów, ale w końcu znalazło się odpowiednie pomieszczenie i ostatecznie już od trzech lat Pstrągi cieszą się własną salą przy ulicy Wólczańskiej 74.

Wszystkie te kłopoty nie przeszkodziły studentom w ich pracy. Przez dziesięć lat dorobili się 20 premier, kilkunastu nagród i wyróżnień na festiwalach krajowych i zagranicznych (Parma, Tuluza, Rouen, Bruksela), a co najważniejsze, dorobili się własnej kadry. Programy „Pstrąga" przygotowywane są całkowicie we własnym zakresie, począwszy od napisania tekstu, na wykonaniu scenografii przestawszy.

Teksty są dla „Pstrąga" sprawą najbardziej żywotną i zarazem jego największą chlubą. Jako teatr prowadzący konkretną i konsekwentną politykę repertuarową, musiał oprzeć się na utworach oryginalnych, wypływających z życia w sposób bezpośredni, będących jego odbiciem i zarazem karykaturą. Trzon zespołu stanowili studenci filologii polskiej i właśnie oni stojąc przed koniecznością tworzenia coraz nowych i lepszych programów, chwycili za pióra; jak się okazało z doskonałym rezultatem.

Dziesięć lat, to niemały okres i wiele zmian zaszło przez ten czas. Młodzi ludzie pokończyli studia, rozpoczęli pracę, przygotowywali „świeżych" jeszcze kolegów, grali i pisali. Wielu z nich jest teraz dobrymi dziennikarzami, literatami, publicystami, a wszystko zaczęło się od małej i zdawałoby się nieszkodliwej „pstrągowej" pasji.

Przypomnijmy sobie tych ludzi, którzy przygotowali pamiętny, pierwszy program: Leszek Skrzydło — pierwszy kierownik literacki, Julian Brysz — kierownik organizacyjny, muzykę do „Pstrągów" dorobił Witold Afelt, dalej Jan Skotnicki — dziś obiecujący reżyser teatrów „z prawdziwego zdarzenia", Ewa Nagurska — jeden z filarów zespołu, Piotr Hertel, Dobrosław Mater — aktor Teatru Nowego i wielu jeszcze innych, którzy przybywali stopniowo w miarę jak teatr stawał się coraz głośniejszy, zaczynał cieszyć się coraz większym powodzeniem. Dzisiaj skład zespołu zmienił się nieco, lecz stara gwardia zasadniczo pozostała. Choć przybyło wielu nowych i utalentowanych kolegów, oni są nadal wierni swej pierwszej pasji. A „nowi" także zrobili furorę. Piosenki Janusza Słowikowskiego i P. Hertla znane są w całym kraju. Ba. „Parasolki" na przykład zawędrowały nawet do Ameryki!

Teatr żyje! Tętni życiem, a przecież nie tak odległy jest czas, gdy mawiano: — „Wygłupy! Znudzi im się za miesiąc, czy dwa". — Potem, kiedy okazało się, że nie są to wygłupy, ani że nikomu się nie nudzi, zaczęto perswadować: — „Chłopcy, na co wam to? Zastanówcie się! Chleba z tego mieć nie będziecie".

Ech! Straszku, straszku! Gdybyś ty wiedział ile radości sprawia mozolne przygotowywanie każdego nowego programu. Tutaj studia i do kina chciałoby się pójść, a tymczasem pracuj bracie! I dopiero potem radość, kiedy widzisz, że to wszystko nie na marne, że się podoba, że bawi i uczy.

Właśnie! Bawi i uczy. Ostra jest „pstrągowa" satyra. Tnie jak zimny prysznic, jak górskie potoki — siedlisko tych zwinnych ryb. Dociera wszędzie. Bije za narodowe przywyczki i równie mocno za zwykłe, codzienne słabostki i śmieszności. I dobrze, i zdrowo, choć czasem nieźle zaboli. Mimo to nie zraził „Pstrąg" do siebie nikogo, a większość go rozumie i lubi.

Najlepszym tego dowodem są dwa Kaduceusze przyznane zespołowi jako nagrody przez redakcję „Szpilek".

Mówiąc o repertuarze, trzeba jeszcze zauważyć, że teatr przeszedł w czasie tych dziesięciu lat pewną ewolucję. Rozpoczął od składanek satyrycznych z utworów własnych i wielu znanych poetów. Tak na przykład w pierwszym programie znalazło się sporo utworów K. I. Gałczyńskiego. Od niego też pożyczono motto i późniejszy szyld teatru (skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie — pstrąg!). Potem nie rezygnując z twórczości własnej zaczęto wykorzystywać szeroki wachlarz możliwości satyrycznych, kryjących się w utworach nie scenicznych. Tak narodziło się znakomite przedstawienie „Między wójtem, a plebanem", będące adaptacją utworu Giacomo Guareschi „Mały światek Don Camilla". Nawiasem mówiąc adaptacja ta zyskała nagrodę na grudniowym przeglądzie teatrów studenckich w Łodzi.

Ważne, że pracując nad ulepszeniem i udoskonaleniem świata młodzi z „Pstrąga" nie zapomnieli o tym, że ukazanie piękna słowa jest również zadaniem teatru. Estrada Poetycka rozpoczęła swą działalność w kwietniu 1956 roku programem wierszy Jana Lechonia. Idąc później od spektaklu do spektaklu cieszyła się wciąż niesłabnącym powodzeniem. Szkoda, że ostatnio na naszych stołach nie pojawia się częściej ten, tak wdzięczny gatunek pstrąga.

Patrząc nań z perspektywy minionego czasu, żywot teatru nie przedstawia się jako jedno pasmo radości i powodzenia. Szczególnie na początku napracowali się młodzi niemało. Wiemy wszyscy, jak daleka jest droga od dobrego pomysłu do jego realizacji. Nawet teraz, przy realizacji kolejnych programów, sporo bywa kłopotów. Dobrze wie o tym obecny kierownik „Pstrąga" Ryszard Czubaczyński i wszyscy jego poprzednicy. Ale teraz, kiedy razem z jubilatami cieszymy się, bo miniony okres przyniósł tyle sukcesów i kiedy robimy wspólnie, zespół i widzowie, nowe, wspaniałe plany na przyszłość, teraz nie pora na wspominanie kłopotów i zmartwień. Pstrągi mówią: — „Robiliśmy, co się dało! Jeśli kogoś z widowni nie zdołaliśmy obudzić, to jego wina. My krzyczeliśmy wystarczająco głośno". — Mają rację! Zrobili co się dało i szykują się teraz na jeszcze więcej.

Istnieje taki miły zwyczaj, wedle którego czcigodnym jubilatom składa się serdeczne życzenia wielu długich lat życia w szczęściu i spokoju oraz dalszej owocnej pracy. My im życia w spokoju nie życzymy. Zamiast tradycyjnych „100 lat" życzymy 100 nowych premier w możliwie najkrótszym czasie i to równie dobrych, jak dotychczasowe. A może jeszcze lepszych?

Książki nadesłane

B. Cendrars — RAŻONY GROMEM, Czytelnik, cena zł 30.
J. Sobiesiak — PRZEBRAŻE, MON, cena zł 12.
E. Kurowski — NOWA TWARZ TERESY, Iskry, cena zł 12.
Cz. Kuriata — GALOP DO WIELKIEGO LASU, LSW, cena zł 10.
B. Kogut — SYN PUŁKOWNIKA, W. Poz., cena zł 10.
H. Snopkiewicz — PALADYNI, LSW, cena zł 22.

KRONIKA

FILM, DZIENNIK I KOBRA

Nie lubię oglądać filmów w telewizji. Wydaje mi się zawsze, że ten mały ekran nie jest w stanie pomieścić w pełni całego dramatyzmu i wszystkich konfliktów, tak jak to się dzieje na normalnym ekranie w kinie. Ale gdy zapowiedziano „Siódmy krzyż" według powieści Anny Seghers — nie wytrzymałem nerwowo. Po pierwsze: czytałem tę powieść przed laty i zrobiła ona na mnie ogromne wrażenie. Po drugie: miałem szczęście poznać autorkę osobiście jeszcze w czasie Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu w 1948 roku. I wreszcie po trzecie: film „Siódmy krzyż" widziałem przed laty na jakimś zamkniętym pokazie, sam już nie pamiętam dokładnie, gdzie i kiedy. Obecnie zapragnąłem skonfrontować swoje dawne wrażenia z obecnymi. Co tu gadać — film „Siódmy krzyż" bardzo mi się podobał. Oczywiście sformułowanie „bardzo mi się podobał" znaczy niewiele. Chodzi o to, że chociaż film ten Amerykanie wyprodukowali w 1944 roku, a więc przed przeszło dwudziestu laty, nie tylko się on nie zestarzał, lecz nabrał jeszcze na wartości. Może nie jest tu bez znaczenia fakt, że film wyświetlono na ekranie telewizyjnym w przededniu debaty w Bundestagu na temat przedawnienia zbrodni wojennych. Ale nie. Także jego walory artystyczne wytrzymały próbę czasu. Występujący w głównej roli Georga Heislera, Spencer Tracy, okazał się aktorem znakomitym, który trudną rolę uciekiniera z obozu koncentracyjnego odtworzył dyskretnie i nader przekonywająco. Jest to jedyna postać z powieści (i z filmu), której się ucieczka udała i której nie złapali gestapowcy. Siódmy krzyż, sporządzony z przyciętego platanu, został wolny do końca: nie zawisł na nim uciekinier Georg Heisler. Zbiegł on szczęśliwie i po wielu perypetiach wyjechał do Holandii, by walczyć w obozie aliantów przeciwko faszyzmowi. Dobry film, mocny film, ciekawy film. Warto byłoby puścić go na ekrany. Przypomina nam on, że nim Hitler podbił Europę, wsadzał do więzień i obozów patriotów i antyfaszystów niemieckich, którzy nie godzili się na nieludzki reżym.

II.

O dzienniku telewizyjnym napisano już wiele pochwał. Zastanawiam się jednak, czy pochwały te nie odnoszą się coraz bardziej do przeszłości. Dziennik telewizyjny, w pierwszym okresie odkrywczy i pomysłowy, staje się, w miarę upływu czasu, raczej monotonny i po prostu nudny. Wynika to chyba stąd, że nadmiar w nim spraw produkcyjnych. Przed rokiem 1939 kpiono z ówczesnej kroniki filmowej, że chętnie pokazuje „piłowanie drzewa na Huculszczyźnie". Rzeczywiście piszący te słowa przypomina sobie owe kroniki filmowe, z których wszyscy się śmiali. Nasza obecna kronika filmowa osiągnęła wysoki poziom, o czym świadczy fakt, że na międzynarodowym festiwalu filmowym w Oberhausen na specjalnym pokazie zyskała ona pierwszą lokatę. Zwłaszcza wysoko oceniono pomysłowość i humor polskich kronik filmowych. Niestety, nie da się tego powiedzieć o dziennikach telewizyjnych ostatnich miesięcy i tygodni. Stają się one coraz bardziej jałowe. Nadmiar problemów produkcyjnych, choć nader ważnych, czyni z niej audycję mało atrakcyjną. Zdarza się, że ludzie, którzy kiedyś przepadali za dziennikiem telewizyjnym, teraz wyłączają telewizor w chwili, gdy odzywa się zapowiedź jego nadawania. Myślę, że mści się tu rutyna i zadowolenie z sukcesów, należących do przeszłości. Kto nie wierzy, niech sprawdzi.

III.

Moja sąsiadka z utęsknieniem czeka na czwartek, w którym telewizja nadaje „korbę". Tak właśnie mówi: korba. Lubię i ja oglądać tę audycję. Potrzeba sensacji, silnych wrażeń i dreszczyku emocji sprawia, że czwartkowe przedstawienia „Kobry" cieszą się dużym zainteresowaniem. Nie powiem, żeby „Siódmy sygnał" G. Simenona należał do szczególnie udanych. Jak każda audycja cykliczna, i ta również zdaje się przeżywać kryzys. Nie jest to jedynie przywilej „Kobry". Wyczerpuje się pomysłowość „Kabaretu starszych panów"; narzekamy na audycje Kobieli i Federowicza „Poznajmy się"; które początkowo były znakomite, a z czasem stały się długie i mało dowcipne. Trudno. Pomysłowość ludzka jest ograniczona i widać to w sposób wyraźny na wspomnianych pozycjach.

Muszę wyznać z żalem, że „Siódmy sygnał" nie stał się, niestety, „Siódmym krzyżem". Chociaż G. Simenon to mistrz nie lada, jego „Siódmy sygnał" wypadnie uznać za utwór słabszy. I nic tu nie pomoże fakt, że w przedstawieniu wzięli udział znakomici aktorzy jak Krasnowiecki, Zaczyk, Kostecki, Janczar i inni. Dopiero pod koniec zostaliśmy wciągnięci w akcję, gdy młodemu chłopcu groziła śmierć ze strony nędznego pijusa. Natomiast do połowy utworu nudziliśmy się, ziewając, rozmawiając i pijąc bez przeszkód herbatę. A dobra „Kobra" jest taka, kiedy nie można ani pić herbaty, ani rozmawiać, ani ziewać. Ba! Były już takie przedstawienia, które oglądaliśmy z zapartym tchem i w absolutnej ciszy, nie mogąc się od nich oderwać nawet na chwilę.

A może wynika to stąd, że stajemy się coraz bardziej wymagający, że wzmógł się nasz zmysł krytyczny i wzrosło zapotrzebowanie. Jeżeli tak, dobry to znak i należy się z tego cieszyć.

JACEK WIERZBIŃSKI

Benon Liberski. Martwa natura. (Olej).

HENRYK ANDERS

ŁÓDZKIE KONFRONTACJE

Bieżąca, XIX wystawa okręgowa w Ośrodku Propagandy Sztuki posiada dwojakie niejako oblicze. Jubileusz dwudziestolecia istnienia ZPAP nadaje jej charakter uroczysty, prowokujący wspomnienia, zachęcający do prób podsumowania minionego już etapu.

Stąd retrospektywny po trosze układ katalogu, uwzględniającego prace z lat ubiegłych: artystów bądź nieżyjących, bądź zasłużonych a mniej ostatnio aktywnych; stąd też rozbieżności pomiędzy doborem reprodukcji a zestawem dzieł eksponowanych w galerii. Stąd wreszcie na salach, wśród produkcji najnowszej, eksponaty kiedyś już demonstrowane i omawiane.

Równocześnie jednak jest to zwykła, kolejna wystawa doroczna, obrazująca aktualne zainteresowania i osiągnięcia plastyków łódzkich. I tylko w tym kontekście można ją rozpatrywać z punktu widzenia recenzenta.

Pierwszy, pobieżny ogląd całości nasuwa garść refleksji. Jest sporo rzeczy dobrych, wysmakowanych i wyważonych lub mocnych w wyrazie, działających. To cieszy, to sprawia satysfakcję. Zaskakuje natomiast mała, mniejsza niż zwykle, liczba dzieł nieprzedstawiających — zwichnięcie ustalonych przez lata proporcji. Czym to wytłumaczyć? Nikt z abstrakcjonistów nie przeszedł do przeciwnego obozu. Przybyło kilka nazwisk nowych. Nie wystawia wprawdzie wielu ze „starych", ale przecież zaznacza się także absencja niektórych przysięgłych „przedstawieniowców".

W dziale malarstwa przedstawiającego uderza wielka rozpiętość szkół i kierunków, ujęć formalnych i postaw artystycznych, przy równoczesnym, dziwnym zawężeniu kręgu tematycznego. Dominuje, pleni się, rozrasta klan pejzażystów, jak gdyby odkrycie uroków natury stanowiło największą rewelację estetyczną drugiej połowy XX wieku. Przeróżne odmiany pejzażu — od naturalizmu poprzez impresjonizm, ekspresjonizm, postkubistyczną stylizację po pół-abstrakcję wrażeniową — wypierają nie tylko zanikającą martwą naturę, ale także najistotniejsze, sztandarowe watki sztuki realistycznej, watki spraw ludzkich.

Każdy artysta ma prawo do własnej wizji świata. Może się nim zachwycać lub urągać mu, może sławić zmysłowe piękno lub szukać utajonych wartości duchowych. I trudno procesować się z którymkolwiek z plastyków o słuszne czy niesłuszne treści pojedynczego dzieła wyrwanego z całokształtu twórczości. O ile, oczywiście, nie podsuwa naciąganych motywacji, jak ów malarz — wcale nie z anegdoty — który wypieścił trzy nagie kobietki, upozowane wdzięcznie na antyczne gracje, ale dla przyzwoitości zatytułował obraz: „Robotnice z fabryki w N. biorą prysznic po pracy". Jednakże wystawa zbiorowa to również fakt artystyczny, dokument pewnego historycznego procesu. Jeżeli więc z nikim personalnie — z łódzkim malarstwem przedstawiającym z marca 1965 roku warto pospierać się o pryncypia.

Na ogół człowiek pojawia się na płótnach jako plama barwna ożywiająca krajobraz, czasem po prostu jako jeszcze jeden motyw zdobniczy wypełniający określoną powierzchnię. Mamy, co prawda, parę portretów i studiów portretowych, ale wizerunek współczesny, szczególnie odrobiony z fotografii, to gatunek spełniający zadania bardzo swoiste, raczej pozaartystyczne. Na palcach za to można policzyć kompozycje figuralne podejmujące aktualną problematykę społeczną, czy wielkie tematy wszystkich czasów, jak miłość, śmierć, walka, praca.

„Stare i nowe". Taki tytuł nosi obraz Zygmunta Kaniewskiego. Poprzez wyrwę w ruinach, tworzących rodzaj teatralnych kulis, oglądamy daleką perspektywę a raczej wizję nowego, wspaniałego świata — świetliste, promienne miasto drapaczy chmur. Miasto wydaje się irrealne i fantastyczne, jak księżycowy pejzaż, ale przecież to tylko wizja odległej przyszłości. Zejdźmy na ziemię. „Na Dołach" — Feliksa Paszkowskiego — wybudowano nowe bloki mieszkalne. Wznoszą się dumnie regularne bryły, białe i czyste, widać je z oddali za rzędem starych ruder i odrapanych czynszówek. Tu nie ma nic zmyślonego. Również Tadeusz Roman w „Pejzażu I" pokazuje zaobserwowany z natury wycinek naszego świata: na pierwszym planie stara, drewniana chałupa i jakaś rozwalająca się szopa czy drewutnia, w głębi — pasmo białych bloków, trochę odrealnionych zgodnie z prawami impresjonistycznego widzenia.

Trzy obrazy, trzy pejzaże nie pozbawione zalet malarskich, zestawione razem urastają do rangi symptomu. Prawda artystyczna — tak się rzeczywiście, czasami, widzi — zostaje, idea przepada. „Nowe" jest tu dalekie, rozwodnione, blade, zimne w swej wymuskanej regularności, „stare" jest barwne, ciepłe, soczyste, malownicze, konkretne. Pobrzmiewa echo dawnych romantycznych tęsknot — ruiny i rudery to temat „malarski", nowoczesność — nie bardzo.

Inaczej, w sposób niezwykle wyrafinowany ukazuje ślad człowieka Jan Łukasik, łącząc zgrabnie abstrakcjonistyczną rozgrywkę faktury i koloru z realistyczną motywacją. „Niebo" to swoisty niby — pejzaż (lub, jak kto woli, martwa natura): kilka płyt chodnika widzianych z góry, a na nich narysowane kredą pola do dziecięcej gry w klasy.

W „Fabryce" Heleny Strzyż-Garbolińskiej nie ma nawet śladów życia. Artystkę fascynują przedmioty, świat kamienia i metalu oschły i jakby wrogi ludzkiej egzystencji. Odtwarza bez czułości wyolbrzymioną martwą naturę, spiętrzone bryły murów, zbiorników i przewodów nadrealistycznie groźnych i tajemniczych.

Z pejzaży bez podtekstu wymienić by należało — wyliczając w kolejności uzasadnionej wyborem typu historycznej tradycji — wspomnienie z Włoch Mackiewicza i drugi obraz Romana, agresywną w kolorze, ekspresjonistyczną pracę Wolańskiej-Horbaczewskiej, postkubistyczny „Kazimierz nad Wisłą" Sprusiaka, „Uliczkę" Skrobińskiego, który zdaje się nawracać do bardziej wysmakowanych tonacji, syntetyzowany „Biały pejzaż" Haliny Korbik, uogólnione aż do granic bezprzedmiotowości impresje Jadwigi Głowackiej i Teresy Malczyk, wreszcie zupełnie już abstrakcyjna „Kompozycję" Pukaczewskiej, która z wyglądu natury zachowuje tylko sumę doznań przedstawiona w postaci siatki zgeometryzowanych pól.

Na wskazania kubizmu — różne zresztą — powołują się Hochlinger i Kromer. Pierwszy rozdziela kształty i kolory, starając się oddać wibrację atmosfery zagęszczeniem drobnych, dywizjonistycznie zestawionych plamek, dość dowolnie przejaskrawionych. Drugi nawiązuje do Feiningera i francuskiej grupy „złotego podziału", sprowadzając obrazy do zrytmizowanej gry załamujących się i przenikających planów. Na skutek silnego rozbicia przedmiotu powstaje wrażenie kompozycji niemal abstrakcyjnych: w katalogu jedną z prac Kromera zamieszczono nawet do góry nogami.

Niektórzy dla odmiany świadomie prymitywizują. Liberska sięga bezpośrednio aż do tradycji średniowiecznego prymitywu włoskiego, Rózga, szukając podobnych, choć nie identycznych, źródeł inspiracji, uzupełnia je elementami sennych skojarzeń, Kondek w „Zimowym teatrze" czerpie z repertuaru współczesnej „sztuki naiwnej".

W grupie obrazów fabularnych wielki temat rozrachunku z wojną odżywa w „Powrocie" Wiesława Garbolińskiego. Na tle ruin nieokreślonego miasta rysuje się samotna postać człowieka — również niewyraźna, niedomówiona, ponieważ chodzi o symbol, o wieczny problem ludzkiej niedoli. Nastrój przygnębienia pogłębia ciemna, ponura tonacja, nierozświetlona najmniejszym promykiem nadziei. Dokładnie ten sam motyw podejmuje w „Kto winien?" Jerzy Tyblewski. Matka, kobieta w chuście, trzymając za ręce dwoje małych dzieci, stoi nad gruzami domu. Twarzy nie widać, tylko przegięcie pleców, pochylenie głowy mówi o rozpaczy. Jednakże formą oba obrazy bardzo się różnią: Garboliński operuje romantyczną, daumierowską plamą, ekspresyjną samą przez się, Tyblewski — uproszczoną, czytelną kreską która niczego nie sugeruje.

„Kobieta i miasto" Liberskiego od razu ściąga uwagę, szokuje niejasną, trochę brutalną symboliką. Hoża, nowoczesna dziewczyna, po picassowsku krzepka, odwraca się od dalekiej panoramy miasta i unosi różę wielką jak głowa kapusty. Interpretować tego dosłownie nie wypada, na aluzje w rodzaju „kobieta tęskni do wielkiej miłości" — nie starcza argumentów. Stanowczo lepiej udała się autorowi martwa natura po flamandzku ogromna i soczysta — pozornie zbiór chaotycznie rozstawionych przedmiotów, w istocie logiczna w kontrastach form i scalona kolorem.

Delikatna gama kolorów jakby spłowiałych, przypominająca patynę starych fresków, płaskie, dekoracyjne ujęcie, stylizacja kształtów, sferyczność kompozycji — „Rąbanie lodu" Mariana Jaeschkego ma być apoteozą pracy i może dlatego bardziej przywodzi na myśl monumentalne malarstwo ścienne niż obraz sztalugowy. Pracę opiewa również Siedlanowski w „Poszukiwaniu ropy" utrzymanym w konwencji realistycznej. Sumaryczne potraktowanie wiertaczy, skupienie uwagi na aparaturze, wesoły, bursztynowo-złotawy koloryt wskazują, że chodzi tu przede wszystkim o pochwałę sprawnego i pożytecznego działania. Antytezą tego radosnego wysiłku staje się, oczywiście przypadkowo, zjadliwie — satyryczny, ponury „Odpoczynek" Łukasika. Motyw pracy pojawia się jeszcze w monotypiach Idzińskiej i Bożyk, ale tylko jako pretekst dla zagrywek kolorystycznych.

Rozmus ucieka od rzeczywistości w zamierzchłą przeszłość stepowych zagończyków. Muszka przywraca do życia zaginiony świat zapadłych, kresowych miasteczek, ale pogrążając się w marzeniu, w sentymentalnobaśniowej fantastyce, zbyt jawnie parafrazuje Chagalla. W kręgu nadrealistycznych niesamowitości obraca się, jak zawsze, Wasilewski.

Wśród przedstawiających można znaleźć prace bardzo słabe, abstrakcyjne „kompozycje" — bo w tej kategorii tylko cztery obrazy noszą jakieś tytuły — reprezentują poziom na ogół wyrównany, widocznie przeselekcjonowano je staranniej. Mało tym razem taniego, pasożytniczego estetyzmu, który tak dokucza na wielu wystawach sztuki zwanej nowoczesną, znakomitą większość prac jest dobrze osadzona na fundamentach ugruntowanej świadomości artystycznej, rozwiązuje rzeczywiste, nieurojone problemy formalne, wyraża prawdziwe, autentyczne przeżycia.

W białej kompozycji Głowacki unika raptownych spięć, wyrzeka się ekspresyjnych efektów, które tak dawniej lubił. Unifikuje fakturę, zaciera przejścia koloru, porządkuje siłę działania. Podobnie uspokaja się Kunka. Nie rezygnując z ulubionych form kolistych, porzuca jaskrawe wybuchy koloru, ścisza ton, aż w „Kompozycji II" dochodzi do szlachetnej, zmatowiałej szarości. Swoisty kult materii celebruje natomiast Pisarek, operuje blikami mieniącej się powierzchni, drogocennych kruszców. Szadkowski oscyluje między malarstwem a płaskorzeźbą: wyszukana siatka form z białego metalu ma w sobie coś z organicznej doskonałości. Wydaje się jednak, że harmonię tę psują nieco wstawki z kamieni. Tyszkiewiczowa pozostaje wierna sztuce „gestu", spontanicznemu malarstwu wyrażającemu stan napięć psychicznych. Ale troszcząc się bardziej o konstrukcję, osiąga kompozycje bardziej zwarte, scalone, jednoznaczne w wyrazie. Obłe formy Stefana Wegnera nasuwają nieodparcie skojarzenia przedmiotowe: jest to jakaś daleka synteza świata widzialnego, gdzie wszystko da się wymierzyć, wyważyć, ująć w żelazne prawa liczb i proporcji.

Starsze i średnie pokolenie abstrakcjonistów dopisało. Z młodszego najciekawszy wydaje się tym razem Gałkiewicz, który współczesnym językiem abstrakcji niegeometrycznej próbuje niejako wyrazić dynamikę starego suprematyzmu.

O grafice i rzeźbie — z konieczności — słów tylko kilka. Z grafików wystawia zaledwie garstka, ale jakość nadrabia braki ilościowe. Wyróżnić nikogo nie można, bo skrzywdziłoby się innych — to osiągnięcie pierwsze. Drugie — to powrót do technik szlachetnych, Chapeaux bas.

Ekspansji rzeźby nigdy w Łodzi nie przeżywaliśmy. Tym razem pokazano więcej niż zwykle i parę całkiem udanych. Być może i w tej dyscyplinie doczekamy się sukcesów, które na razie odnosi tylko Starczewski. Oby.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Konwenans, pozory, zakłamanie — były to cele, które atakował swym świetnym błyskotliwym pisarstwem Oscar Wilde (1854—1900), zwany również ze względu na ekscentryczny tryb życia — Lordem Paradoksem. Tej interesującej postaci poświęcono wiele powieści autobiograficznych w rodzaju tzw. vie romancée. U nas Jan Parandowski napisał o Wildzie powieść pt. „Król życia", Teatr Telewizji wystawił Wilde'a „Męża idealnego" w doskonałej obsadzie z Mrozowską i Voitem w rolach tytułowych. Oprócz nich o palmę pierwszeństwa ubiegali się w wyrównanej konkurencji aktorskiej Małynicz, Gogolewski, Horawianka, Mrozewski i Kobuszewski. Słowo wstępne Stefana Treugutta, zawsze wnikliwe i zręcznie zbudowane, słuchane było z przyjemnością zarówno przez tak zwane szerokie rzesze widzów, jak i przez — „znawców".

WTOREK

W Klubie Dziennikarza przy ul. Piotrkowskiej 96 odbył się pokaz niemego filmu Sergiusza Eisensteina (1898—1948) „Pancernik Patiomkin". Ze wszystkich filmów tego znakomitego reżysera radzieckiego („Iwan Groźny", „Meksyk" i inne), „Pancernik Patiomkin" pozostanie chyba jego niedoścignionym arcydziełem. Pomimo, że został nakręcony w konwencji obowiązującej film niemy, nie stracił nic na sile wyrazu, a słynna scena na odeskich schodach wywiera po dziś dzień wstrząsające wrażenie.

ŚRODA

W lokalu wystawowym Biura Wystaw Artystycznych w Związku Polskich Artystów Plastyków przy ul. Piotrkowskiej 102 została otwarta ekspozycja kompozycji malarskich Leny Kowalewicz. Plastyczka ma już za sobą kilka wystaw indywidualnych w Łodzi i w Warszawie (Krzywe Koło). Autor prospektu Tadeusz Byczko podkreśla wpływ Strzemińskiego na twórczość Leny Kowalewicz, co nie pozbawia jednak tego malarstwa własnych oryginalnych spojrzeń na otaczającą rzeczywistość oraz swoistego kontrastowania barwy i formy. Rektor Zdzisław Głowacki w słowie wstępnym słusznie określił malarstwo Leny Kowalewicz jako twórczość, w której liryzm sąsiaduje o miedzę z drapieżnością. W istocie, ta szeroka skala na palecie malarki sprawia, że jej kompozycje wzbudzają zainteresowanie u laików i fachowców.

CZWARTEK

W lokalu Związku Literatów Polskich odbyło się spotkanie pierwszego sekretarza KŁ Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysza Józefa Spychalskiego i sekretarza towarzysza Hieronima Rejniaka z pisarzami łódzkimi. W ożywionej parugodzinnej dyskusji zostały omówione sprawy bytowe i zawodowe łódzkiego środowiska literackiego oraz zagadnienia współpracy pisarzy z Radiem, Telewizją, „Głosem Robotniczym", „Dziennikiem Łódzkim" i „Odgłosami". W podsumowaniu towarzysz Spychalski podkreślił rolę Związku Literatów Polskich w ocenie konfliktów zawodowych oraz wskazał na zadania kulturowe zakładów pracy jako dysponujących funduszami przeznaczonymi na cele rozwoju i popierania kultury. Doceniając poważny dorobek łódzkiego środowiska pisarskiego wskazał również na perspektywy dalszego rozwoju miejscowej prasy literackiej, a w szczególności — dotychczasowego almanachu „Osnowa".

PIĄTEK

Styczniowy „Science et Vie" popularyzujący osiągnięcia nauki i rozwój myśli współczesnej poświęca obszerny artykuł sprawie kontroli urodzeń, którą uważa za jeden z naczelnych problemów dzisiejszego świata. Relacjonując stanowisko Watykanu, które znalazło wyraz w czasie obrad ostatniego Kongresu, przytacza jakże znamienne słowa z przemówienia Monsignora Suenensa (Belgia): „Błagam was, ojcowie, nie róbmy ze sprawy kontroli urodzeń nowego procesu Galileusza. Naszą rzeczą jest dostosować doktrynę do zmienionej rzeczywistości".

SOBOTA

Podobno Wojewódzka Rada Narodowa zamierza ogłosić przy współudziale ZLP konkurs otwarty na powieść współczesną, której akcja rozgrywa się na ziemi łódzkiej. Bardzo nas cieszy to zamierzenie, godne najwyższego uznania. Tylko... Otóż to, jest jednak pewne „ale". Czy organizatorzy pamiętają o niefortunnym wyniku konkursu na temat łódzki, ogłoszonego przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi sprzed paru lat? Główną przyczyną, dla której konkurs nie został obesłany przez literatów, było to, że nie zostali oni zaproszeni do udziału w konkursie. Warunki pracy pisarza nie zawsze pozwalają dziś na porzucenie innego nie-łódzkiego tematu i zabranie się do pracy konkursowej. Aby przyciągnąć pisarzy z prawdziwego zdarzenia, trzeba im ułatwić, a nawet — umożliwić start do nowego tematu przez zaproszenie, związane z poparciem materialnym. Taką praktykę stosuje się dziś na poważnych konkursach w Warszawie i nie tylko w Warszawie. Dlaczego więc Wojewódzka Rada Narodowa zamierza powtórzyć błąd Prez. RN m. Łodzi? Czy to takie kosztowne, żeby obok ogłoszenia konkursu otwartego zaprosić 8 lub 10 pisarzy, prozaików łódzkich, którzy dają gwarancję podniesienia poziomu plonu konkursowego i samego konkursu?

NIEDZIELA

Czy nikt dotąd nie zwrócił uwagi na nonsensy powtarzające się w układzie programów radiowych Warszawy I i II? Weźmy dziś na warsztat pierwszy rażący absurd. Wracasz, obywatelu, po pracy około 16 z biura do domu, jesteś zmęczony i chciałbyś przy obiedzie posłuchać dobrej muzyki, poważnej lub rozrywkowej. Tymczasem od godziny 16 do 18 raczą cię w programie I jak na złość Skrzynką ubezpieczeń, Rozmową z pisarzem, programem młodzieżowym, felietonem redakcji społecznej i nie dają ani krzty muzyki. Podobnie jest w programie II: o 15 min. 20 o zwierzętach, 10 minut na organach i już do 16 min. 30 — gadanie! Prosty rozsądek dyktuje chyba, że na ogół o tej porze ludzie po powrocie z pracy pragną chwili wytchnienia i mają w nosie felieton redakcji społecznej itp. Czy osoby układające (względnie prześwietna komisja!) programy nie uważają za stosowne — zsynchronizowanie dwóch programów. Czy to takie trudne zrobić przekładańca i kiedy I program gada, niechże drugi gra lub śpiewa dla przyjemności radiosłuchaczy, przynajmniej tych, którzy wolą muzykę od drętwej mowy. A ci drudzy stanowią przecież większość!

ARYSTARCH

HELENA DUNINÓWNA

AKTORZY MOJEJ MŁODOŚCI

Swoją karierę, jako widz teatralny, rozpoczęłam bardzo wcześnie i dość — powiedziałabym — lekkomyślnie: od baletu i od operetki.

Musiałam być jeszcze zupełnie mała, kiedy zabrano mnie do Teatru Wielkiego na „Wieszczkę lalek", krótką feerię baletową, uzupełnioną w programie jednoaktową operą Moniuszki — „Flis". Pewne momenty utkwiły mi jednak w pamięci. Więc: oczarowanie nie samą Wieszczką, która we wspomnieniu majaczy mi się tylko jako jakaś niesłychanie błyszcząca i bardzo wysoko stojąca postać, ale budzonymi przez nią do życia lalkami. Było ich dużo, bardzo zapewne efektownych i pewno pięknie tańczących — tego nie pamiętam; wiem jednak, że pod wpływem nagłego zachwytu zaczęłam gramolić się na parapet loży, by pobiec do nich, co mi oczywiście udaremniono. Nie mogłam pogodzić się z losem i płakałam.

Z „Flisem" w ogóle nie udało się. Pamiętam do dziś: każą mi patrzeć na scenę, nie rozumiem nic. Jakaś łódka na wodzie, jakaś dziewczyna i jakiś chłopek, którzy głośno śpiewają. Muzyka hałasuje, a mnie się tak strasznie chce spać. Nie ma rady. Mama układa mnie do snu na krótkiej pluszowej kanapce w małej wnęce w głębi loży, jakby przedpokoiku, w którym zdejmowało się płaszcze i śpię tam do końca przedstawienia, póki mnie — budzoną, ubieraną i znów zasypiającą, nie wynoszą na rękach do dorożki.

Z operetką było już lepiej; miałam już wtedy co prawda nie pięć, ale prawie dziewięć lat, więc bardziej już świadomie brałam udział w przedstawieniu „Dziesięciu cór na wydaniu" *). Pamiętam doskonale ustawiony na scenie, według wzrostu szereg dziesięciu dziewcząt, jednakowo ubranych i pamiętam swój zachwyt nad jedną z nich: złotowłose dziewczątko ze śliczną buzią, z wielkimi błękitnymi oczami i dołeczkami w różowych policzkach. Dziewczątko w pewnej chwili zaśpiewało... nie słyszałam nigdy tak cudownego głosu — to był po prostu głos słowiczy... A potem, nagle, dziewczątko... zagwizdało. Nie! to było nie do pojęcia!

Jakiś świegot ptasi, jakiś poświst wilgi, jakieś tremolando słowika, jakieś turlikanie czy gruchanie gołębia. Takiego cudownego gwizdu, takiej maestrii, jaką słynna potem operetkowa gwiazda Warszawy, Wiktoria Kawecka, fascynowała publiczność — nie słyszało się już nigdy i nigdzie.

Moje dziecięce oczarowanie przerodziło się w wielką dumę, gdy w rok czy dwa później — cała warszawska prasa zupełnie już oficjalnie okrzyknęła to złotowłose, dwudziestoletnie już wówczas dziewczę z dołeczkami w policzkach — jako „primadonnę" naszej operetki: „poznałam się" na niej, ja — dziewięciolatka — „poznałam się" na Wiktorii Kaweckiej!

Ale prawdziwa, teatralna miłość spadła na mnie nieco później; była długotrwała i wierna, zjawiła się również na gruncie operetki, a ja miałam już jedenaście czy dwanaście lat. Nie była to miłość do żadnego młodego i pięknego amanta, ani do żadnej uroczej, w brylanty oprawnej „divy". Uwiódł mnie — o dziwo! — oporną w dodatku od dzieciństwa na wszelkie gatunki humoreski — niezrównany, jedyny w swoim rodzaju, słynny ze swego specyficznego, bo na psychologicznych przesłankach opartego humoru — komik wielkiej miary — Rufin Morozowicz. Zaś na równi z nim niemłoda, groteskowa, cudaczna, ongiś podobno zgrabna, śliczna i pięknogłosa, a w czasie, gdy ją ze sceny poznałam istna karykatura z humorystycznego pisma, przemiła, przezabawna Wanda Manowska. Skąd i jak to moje dziwaczne oczarowanie powstało — zastanawiałam się już nad tym w jednej z moich książek — „Odeszło — żyje" nie będę więc tego powtarzała.

Bywałam w młodziutkich moich latach i na operze. Pamiętam premierę „Goplany" Żeleńskiego (1899). Znałam już oczywiście „Balladynę", więc z wielką ciekawością śledziłam za akcją, która gmatwała się jednak niemiłosiernie w mojej jedenastoletniej wówczas świadomości.

Sytuację jednak uratowało jedno — nowe oczarowanie: cudowny śpiew samej Goplany, która, jak na feeryczną boginkę, była może nieco zbyt opiekla, ale mimo to wyglądała ślicznie, była młodziutka i głos miała olbrzymi, przepiękny. Nic dziwnego — był to przecież głos Janiny Korolewiczówny, późniejszej — na obie półkule sławnej — Korolewicz-Waydowej.

Gdy w rok potem, w świeżo wówczas wystawionej „Hrabinie" Moniuszki, usłyszałam ją w roli rzewnie i słodko śpiewającej Broni — pogłębiło się moje wrażenie i wypowiedziałam wojnę wszystkim, którzy ponad nią przenosili samą Hrabinę, piękną, postawną, o nie lada sile dramatycznego wyrazu, znakomitą śpiewaczkę i aktorkę — Salomeę Kruszelnicką.

Tak to się zaczęło — od efektów wzrokowych, od najłatwiej chyba dostępnych wrażeń słuchu: melodyjnej, operetkowej i operowej muzyki, od tańca i śpiewu, od bogatej, oszałamiającej nieraz wystawy — strojów, rekwizytów, dekoracji, zjawiskowych gier światła.

Dość szybko minęły jednak te moje zachwyty. Balet nigdy nie obudził moich upodobań, do opery rozczarowałam się jeszcze jako podlotek. Raziła mnie z każdym rokiem bardziej jej konwencjonalna scenografia, jej aktorska nieporadność, a przede wszystkim nieprawda jej scenicznych założeń. Śpiew lubiłam, byłam w ogóle muzykalna, ale siedząc w loży wolałam słuchać nie patrząc: zamykałam oczy.

Przetrwała tylko moja sympatia do operetki. Nie potrzebowałam jej przecież traktować poważnie i to pozwalało mi godzić się z jej niekonsekwencjami, jej bzdurną treścią, jej niejednokrotnym stekiem nonsensów. A nasza warszawska operetka — była świetna. Toteż na marginesie moich świadomych już i dojrzalszych, choć młodzieńczych jeszcze teatralnych upodobań, pozostała — jako przemiła rozrywka, łącznie ze stałym, wiernym, a z czasem i pełnym zrozumienia uznaniem dla środków artystycznej ekspresji Rufina Morozowicza i Wandy Manowskiej.

* * *

Warszawski teatr Rozmaitości w moich młodziutkich, pensjonarskich latach żył jeszcze wspaniałą tradycją nazwisk: Modrzejewskiej, Żółkowskiego, Królikowskiego, Popielki, Wisnowskiej. Żyła ta tradycja i w pamięci mojej matki, uwielbiającej teatr. Opowiadała mi o niezapomnianych wrażeniach, jakie dawała gra Modrzejewskiej, o niebywałym uroku tragicznie zmarłej, zamordowanej Wisnowskiej; pokazywała mi ich fotografie. A że z tradycją tą związani byli jeszcze wielokrotnie widywani przeze mnie na scenie — Bolesław Leszczyński i tzw. „Stary" Rapacki — dość długo trwałam pod jej żywą sugestią.

Leszczyńskiego pamiętam najlepiej jako Wojewodę w „Mazepie". Cóż to była za postawa, co za iście wielkopański gest! I co za głos, co za wspaniałe spojrzenie! Paweł Owerlło w swojej książce „Z tamtej strony rampy" wspomina olbrzymie wrażenie, jakie wywoływał na widowni moment odbywającego się poza sceną pojedynku młodego Wojewodzica; ową niezapomniana pauzę, jaką Leszczyński — Wojewoda czynił po słowach: „cyt — proszę o ciszę — proszę o wielką ciszę..." — zanim wypowiadał potem słowa bezdennej ulgi: „słyszę, to mój syn strzelał, a drugi nie strzela...".

Mam tę chwilę zachowaną po dziś dzień we własnej pamięci. Czuję dziś jeszcze jak cała sala zamiera w absolutnej ciszy, hamuje — zda się — oddech, zastyga w bezruchu. I ja boję się wprost odetchnąć, trwam w napięciu, takim samym jak tam, na scenie, on — Wojewoda. A potem — westchnienie, wielkie zbiorowe westchnienie takiej samej jak na scenie ulgi.

Rapackiego widzę przede wszystkim we Fredrze: w postaci Rejenta z „Zemsty", Łatki w „Dożywociu", no i „Pana Jowialskiego" w pierwszym rzędzie. Wszyscy o tym wiedzą: bezkonkurencyjny, znakomity: każde słówko, każda intonacja, każdy gest — przemyślany do dna, charakteryzacja coraz inna, a zawsze świetna (Rapacki pierwszy wprowadził na scenę warszawską używanie szminki) — mistrz nad mistrze. A jednak... rozumiejąc i uznając to wszystko, za mych dojrzalszych już lat — nie czułam jakoś do tych dwóch tytanów naszej ówczesnej sceny osobistego, emocjonalnie wiążącego sentymentu.

Wywołał go dopiero nie najmłodszy już wówczas, jakże bliski sercu, a po dziś dzień i pamięci — Mieczysław Frenkiel.

To, że poznałam Frenkla osobiście, że rozmawiałam z nim, że tańczyłam z nim nawet, jako młoda dziewczyna, polonezа w pierwszą parę na pewnym tanecznym wieczorze — nie mogło wpłynąć na atmosferę moich uczuć. Bo już znacznie przedtem, jeszcze jako podlotek, uwielbiałam go.

I jego twarz, pozornie tak nie nadająca się na twarz aktora, i jego niewyczerpany humor, i jego niezrównany komizm, i tę zupełną na scenie prostotę — ową przedziwną bezpośredniość, która w niczym nie przypominała wyuczonej, wystudiowanej roli, ale stwarzała po prostu prawdziwego, żywego człowieka, i ową zaczajoną jakby pod zewnętrzną szorstkością, nutę romantyzmu, i tę nieprawdopodobną — zdawałoby się — zdolność wcielania się w każdą, odtwarzaną na scenie postać, docierania do jej najtajniejszej głębi z tą psychologiczną intuicją, jakiej nabyć nie można.

Naturalnie, że w moich młodzieńczych latach przemawiał do mnie Frenkiel najsilniej nie swą świetną charakterystyką Fredrowskich czy Molierowskich postaci i nie znakomitymi typami Bałuckiego, ale ową właśnie nutą romantyzmu. Po dziś dzień niezapomniany jest dla mnie jako „Cyrano de Bergerac", choć widziałam potem również, choć inaczej doskonałego w tej roli Jerzego Leszczyńskiego.

Z biegiem lat pogłębiało się moje spojrzenie na artyzm Frenkla; poznawałam go, jako artystę, coraz lepiej i bliżej — grywał przecież tak często! I tak, jakby wczoraj, widzę go w Ibsenowskim „Johnie Gabrielu Borkmanie" — szarego, ubogiego człeczynę, poczciwca-niedorajdę, życiowego „nieudacznika", dla którego całą wartość życia stanowi jego grafomańska twórczość i — wierzę w nią, którą mu Borkman tak nielitościwie odbiera.

Widzę go, również plastycznie, i w „Koledze Cramptonie" Hauptmana, gdzie tak bez patosu, tak prawdziwie po ludzku, tak zwyczajnie — cierpi...

Zbyt wiele wspomnień nasuwa się myśli, by móc je w krótkich słowach utrwalić, ale chyba jeszcze to jedno: oto otwarcie sezonu 1912/1913 roku. Na scenie Teatru Wielkiego — „Orlątko" Rostanda. Jako Flambeau, stary napoleoński gwardzista, Frenkiel. Zmartwychwstaje w jego płomiennych słowach gloria napoleońskiej epopei. Słucha zahipnotyzowane Orlątko. Słucha zahipnotyzowana widownia — bez drgnienia, bez oddechu. A potem — orkan uniesienia. Przepłynęło przez salę coś jakby podmuch wielkości, musnęło ludzkie serca, nie na miarę już współczesności — tchnienie zawrotne bohaterstwa...

Bodaj że pierwszy raz zobaczyłam wówczas Osterwę, owo fascynujące „Orlątko", chociaż już od dwóch chyba lat związany był z Warszawą. I, oczywiście, uległam od razu jego urzekającemu, młodzieńczemu czarowi. Ale o tym — już chyba nie teraz. Prawdziwa droga Osterwy — to już czasy późniejsze, po pierwszej wojnie światowej, lata dojrzałości, zarówno mojej — jak i tego cudownego artysty. Lata, które stworzyły „Redutę" i wyczarowały nam cały szereg tak bardzo od siebie różnych, tak bardzo odrębnych scenicznych postaci: Fircyk w żałotach i — Sułkowski; Student z „Ptaka" Szaniawskiego i — Kordian; Konrad z „Wyzwolenia", ks. Piotr z „Dziadów", Fantazy z „Nowej Dejaniry", Don Fernand w „Księciu Niezłomnym" — i Przełęcki z „Przepióreczki" Żeromskiego...

Historia moich naprawdę młodzieńczych teatralnych wzruszeń — to zresztą długa historia; w małej cząstce zaledwie znalazła tu swój wyraz. Bo gdzież wspomnienia o takich artystach, jak niezapomniani, przedwcześnie zmarli — Ludwik Wostrowski i Edmund Weychert? Gdzież jest Seweryn Nowicki, Wolski, Stanisławski, Ładnowski, Kotarbiński, Roland, Żelazowski czy lzawy Śliwicki? Gdzież przezabawny Wojdałowicz? Gdzież od 1908 roku wiążący się z Warszawą, najwyższej miary artysta — Kazimierz Kamiński? I gdzież ta plejada wspaniałych artystek: Lúdowej i Marcello, Honoraty Leszczyńskiej, Siennickiej, Pichorówny, Barszczewskiej, Przybylko-Potockiej, Ireny Trapszo, Marii Dulęby, czy — czarujących tak bardzo, młodziutkich, Lubicz-Sarnowskiej i Szylinżanki?

Niektóre z nich znałam osobiście, większość — tylko ze sceny. Ale wszystkim należy się jednakowe wspomnienie.

Być może, że je jeszcze kiedy napiszę.

*) Operetka jednoaktowa Souppe'go.

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	
POLONIA		
WISŁA	„Banda" — 36 seansów	14 997 widzów
	„Mały światek Sammy Lee", 28 seansów	6 162 „
	TEATR	
NOWY		
	„Pan Geldhab", 3 spektakle	2 100 — 100%
	„Wybór", 1 spektakl	400 — 65%
	„Wicek i Wacek", 1 spektakl	500 — 70%
	„Drewniana miska", 1 spektakl	500 — 70%
	„Marie Octobre", 1 spektakl	600 — 85%
NOWY Mała Sala		
	„Indyk" — 4 spektakle	680 — 80%
	„Radosne dni" — 2 spektakle	330 — 75%
	„Piotr i ja" — 1 spektakl	190 — 95%
JARACZA		
	„Koncert", 3 spektakle	2 000 — 100%
	„Ostatnia stacja", 2 spektakle	1 400 — 100%
	„Wieczór Trzech Króli", 1 spektakl	700 — 100%
	„W pustyni i w puszczy", 1 spektakl	670 — 100%
	„Kobiety z Niskavuori", 1 spektakl	650 — 95%
POWSZECHNY		
	„Ktoś nowy", 2 spektakle	1 236 — 93%
	„Piosenka prawdę ci powie", 2 spektakle	1 249 — 93%
	„Robin Hood", 3 spektakle	1 834 — 92%
7.15		
	„Pani Prezesowa", 1 spektakl	439 — 100%
	„Dzielny wojak Szwejk",	2 271 — 84%
OPERA		
	„Legenda Bałtyku", 1 spektakl	711 — 100%
	„Manon", 1 spektakl	711 — 100%
FILHARMONIA		
	Koncert symfoniczny — muzyka czeska 2 koncerty	830 — 65%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Lewym okiem

MAŁY DETEKTYWEK

„Dzieci, wariaci, co wy robicie?" — wołał kiedyś w wierszu Tuwim, przerażony groteskowym zachowaniem się maluchów. Dlaczego przerażony? Bo dzieci usiłowały zachowywać się jak dorośli i poeta zobaczył nagle groteskowość naszych najprostszych gestów!

Dzieci muszą naśladować dorosłych, inaczej niż przez naśladowanie nikt się przecież nigdy niczego w życiu nie nauczył oprócz Tarzana, ale Tarzan to bujda. Ułatwiamy dzieciom naśladownictwo, czyli inaczej mówiąc — zdobywanie w gęstym skrócie koniecznej kwoty doświadczeń — na wszystkie sposoby. Na przykład produkując dla nich zabawki.

Dajemy szkrabowi małe nożyczki z blachy, lusterko, grzebyk i pędzel — niech udaje fryzjera. Inne pudełko pozwala mu stać się konduktorem, dziurkować bilety i błagać o posuwanie się do przodu. Inne nazywa się „Mały lekarz"; jeszcze inne „Mała gosposia". „Mały zegarmistrz", są rekwizyty strażaka, praczki, szwaczki, malarza, aptekarza, tkacza, ogrodnika, nie mówiąc o pięknej i bogatej w pomysły dziedzinie politechnizacji, o tych zawrotnie kuszących realiach chemika, budowniczego, elektryka, radiowca, mechanika, kosmonauty. Nie ma tylko kompletu z napisem: „Mały detektywek" czy też „Mały inspektorek służby śledczej".

Teraz już wiem, że brak takiego kompletu jest Poważnym Brakiem. Teraz, to znaczy po przeczytaniu felietonu Szeląga w „Kulturze" sprzed paru tygodni. Jakaś spółdzielnia powinna czym prędzej rzucić na rynek pudła, w których byłyby malutkie i gustowne kajdanki, tusz do zdejmowania odcisków palców, ciemne okulary, różne bródki i wąsiki, jakaś dyskretna a skuteczna broń ręczna i spis numerów telefonicznych, na które należy przesyłać poufne meldunki.

Nabywcami takich niezbędnych w życiu dziecka przedmiotów stałyby się natychmiast przedszkolaki po przeczytaniu uroczych opowiastek o bohaterskim Tadziu Pyciu, który w Świdrze wytropił bandytę, doniósł gdzie trzeba, szedł za nim po śladach aż na jakiś strych i został bohaterem. Takich powiastek nie ma. I właśnie dlatego jest felieton Szeląga, żeby były, żeby ich było pełno w prasie, w radio, w telewizji, ze zdjęciem i życiorysem, pod czerwonymi tytułami: Bohaterski Pyć, Brawo Tadzio, Bierzcie przykład z Tadzia, Tadzio jeden zrozumiał ideę współpracy społeczeństwa z milicją!

O Tadziu powinien był napisać Sienkiewicz, nie o Stasiu Tarkowskim. Fotografię Tadzia powinien był zamieścić „Sztandar Młodych", nie zdjęcie modnej piosenkarki. Tadzio czytał uczciwie literaturę kryminalną i Szeląg ręczy, że wiele się z niej nauczył. To są cytaty, naprawdę. Wprawdzie skrócone, ale mam nadzieję, że wierne.

Od wielu lat czytujemy felietony Szeląga, niemal zawsze wydają nam się słowami z naszych własnych ust wyjętymi. A tym razem jakoś smutno. Smutno, że mówiąc o potrzebie propagandy, o jej słabościach — jako przykład takiej słabości podano niewykorzystanie przez propagandę autentycznego faktu wyśledzenia bandziora przez dzieciaka z szóstej klasy; że ogłoszenie właśnie Tadzia bohaterem narodowym i wzorem do naśladowania dla dorosłych i dzieci, uznano za słuszną, a zaniechaną propagandę więzi społeczeństwa z władzami.

I dzieci... Nie, nie chciałbym, żeby miały zainteresowania śledcze. Tropienie przestępców to niewątpliwie potrzebna, trudna funkcja społeczna. Ale chyba jedna z takich, w której lepiej nie posługiwać się dziećmi, a może nawet — nie poufalić z nią dzieci. To są sprawy z terenu patologii społecznej. Nie zaczynajmy wychowania od patologii. Nie obiecujmy dzieciakom sławy i — tym bardziej — konkretnych nagród za tropienie, meldunki, zabezpieczenie śladów. To już, jak na mój gust, nazbyt amerykański styl życia.

Niech już lepiej zostaną przy Indianach i przy podchodzeniu kolegów z sąsiedniej drużyny harcerskiej, po to, żeby im udowodnić brak czujności. A ponurych kryminalistów z majchrem czy spluwą w kieszeni zostawmy fachowcom z milicji. Trudno, oni od tego są. Tak czy nie?

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam 647.III.68. N-3